

magazyn

997

kryminalny

NR 1 (1868) ● 7 I 1990 ● CENA 800 ZŁ

- NAJMRODZKI STORY
- I CO DALEJ Z MILICJĄ?
- GRUNT TO RODZINKA
- ELEKTRONICZNY DOZORCA
- KRYMINALNE RETRO

zdjęcia Krzysztof Potocki



CZY W MILICJI POWSTANA ZWIĄZKI ZAWODOWE



DWA OŚRODKI W KATOWICACH

Już 26 listopada 1989 r., na bazie
 nowo wybranej Rady Funkcjonariuszy
 MO MSW w Piekarach Śląskich
 zawiązał się Komitet Założeń i
 NSZZ Funkcjonariuszy MO, kierowa-
 ny przez kpt. Janusza Strzyckow-
 skiego. W Dąbrowie, w Katowicach,
 w Ząbkowicach, w Zastrzeliu, w dro-
 gach, w Katowicach i Zorach rozpoczęła
 działalność grupy inicjatywne. Szef
 MSW gen. bryg. Zdzisław Wewer
 wydał postanowienie o powołaniu ze-
 spółu konsultacyjno-prawnego ds. do-
 rodztwa i pomocy w zakresie
 związków zawodowych funkcjonar-
 iuszy.

Po ostrych sporach dotyczących celowości i metod tworzenia związków, ich struktur oraz płaszczyzny programowej wyłoniono Tymczasowy Zespół Inicjatywny NSZZ Funkcjonariuszy MO, SB i Pracowników Cywilnych Województwa Katowickiego.

WARSZAWA NIE CHCE JABŁOŃSKIEGO

W URSUSIE KRÓLOWAŁ
IARŁŃSKI

17 grudnia 1989 r. w siedzibie „Solidarności” w Ursusie odbyło się ogólnoekrajowe spotkanie przedstawicieli zwozowych Komitetów Założycielskich NSZZ Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Nie wszyscy jednak reprezentanci związków go garnizonowych przybyli. Ci jednak, którzy znaleźli się na sali, początkowo sądzili, iż spotkanie ma charakter konsultacyjny, podczas którego będzie można wymienić wzajemne doświadczenia

— Związek zawodowy jest nam niezbędny — mówili. — Dotychczas ochrona funkcjonariusza leżała w gestii jego pracodawcy. Efektem tego był żenujący brak zainteresowania przełożonych warunkami służby i kondycji psychicznej milicjantów.

Dość szybko jednak okazało się, że organizatorzy ursuskiego spotkania chcą nie tyle wzajemnej wymiany poglądów, co uchwalenia przez zebranych konieczności powołania Krajowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Funkcjonariuszy Milicji.

— Jestem przeciwny jakimkolwiek pośpiechowi — powiedział przedstawiciel Gdańska. — To już nie jest rok 1981. Faktycznie w tym kraju

— Nie zgadzam się, że tamten okres jest już przeszłością — powiedziała przedstawicielka Przemysłu. — Nadal przeszkadza się tym, którzy w swoich jednostkach chcą stworzyć struktury niezależnego związku. Moje telefonny są na podsłuchu. Winniśmy wdzięczność związkowi „Solidarność” i rządowi premiera Mazowieckiego i możemy się nie bać występować z tej trybuny.

Obecny na spotkaniu redaktor Jerzy Jachowicz z „Gazety Wyborczej” w poniedziałkowym numerze napisał: „Po burzliwych obradach, grupa delegatów gdańskich zrezygnowała z separatystycznych dążeń i weszła w skład Ogólnopolskiego Prezydium Komitetu Założeńckiego”.

— Nikt nie poinformował nas, jaki charakter będzie miało dzisiejsze spotkanie — mówi przedstawiciel EUBłaga. — Okazało się, że mamy zakładową Krajową sekcję, Nikt z moich związków nie wie, że jest ich w naszym garnizonie tysięcy nie dawał nam prawa do deklarowania w ich imieniu czegośkolwiek. Podobnego zdania są i inni kolejni na tej sali. Dosyć zdecydowania za ludzi. Podczas tego spotkania dokonano wyboru szefa krajowego komitetu. W tym wypadku kpt. Roman Hula z Piekar Śląskich wybrał nam przewodniczącego. Chciał dużo mówić się o demokracji, ten wybró z demokracją nie miał nic wspólnego.

Pozwól sobie jeszcze na kilka słów osobistej refleksji. Nie mam nic przeciwko przewodniczącemu panu Janowi Jabłońskiemu, a wręcz przeciwnie, życzę mu wszystkiego najlepszego. Niemniej wydaje mi się, że stanowisko przedstawicieli Gdańska czy też Elbląga było w tej sytuacji „najzdrowsze”. Spieszac się nie zawsze dobrze sjażdżemy. Niech powstaną struktury galwanizowe, jak to jest już w wielu województwach, i niechże one wybierają demokratycznie swoich reprezentantów – przedstawicieli władz krajowych. Lata, które minęły od roku 1981, naukowości. Również samych funkcjonariuszy, którzy jak należy sądzić na podstawie wypowiedzi na sali opinii, nie dadzą już sobą manewrować.

Mówi kpt. Radosław Czerniawski,
komendant II Komisariatu MO w
Gdańsku:

— Pracujemy bez wytchnienia, notujemy bowiem wzrost napadów, rozbojów, włamań. Nasza dotychczasowa działalność związkowa nie rzutuje na stan ładu i bezpieczeństwa. Zajmujemy się nią w czasie wolnym od służby.

Ostatnio otrzymaliśmy nieznaczne wsparcie ze strony przełożonych, np. przydzielono nam samochód (niestety bez kierowcy) i maszyny do pisania.

Uczestniczyliśmy w spotkaniu Ursule i wróciliśmy do Gdańska i w pełni usatysfakcjonowani przebiegiem dyskusji i podjętymi tam decyzjami. Wychodzimy z założenia, iż nasz związek zwraca uwagę oddolnie na woli posterunkowych, gminnych, referentów itp. Jesteśmy na etapie opracowywania statutu, który następnie przedstawimy do zaopiniowania komisji porozumiewawczej, w skład której wchodzi przedstawiciele różnych jednostek. Po jego przyjęciu zwrócimy się do wszystkich z prośbą o ustosunkowanie się i nanieśienie poprawek. Dopiero z takim dokumen-

BUNTY W WIEZIENIACH



Wiosna, lato i początek jesieni minęły w zakładach karnych, aresztach śledczych i ośrodkach przystosowania społecznego pod presją narastającej fali niepokojów i akcji protestacyjnych osób pozbawionych wolności. Fala niezadowolenia apogeum osiągnęła pod koniec ub. r., kiedy to po przyjęciu przez Sejm ustawy amnestyjnej z ograniczeniami, wyłączającymi wielokrotnych recydywistów, wywołała huntę na terenach zakładów karnych

Płonący blok mieszkalny, niszczone wyposażenie cel, budynków administracyjnych, przywieziennych zakładów pracy. Szczególnie groźnie było w Czarnem (woj. śląskie), gdzie bunt pociągnął za sobą ofiary śmiertelne.

12 pawilonów ZK w Czarnem zamieszkiwało około 1500 skazanych w warunkach wielokrotnej recydywy. Niepokoje trwały tu od czerwca, nawiązały się od 17 listopada ub. r. Próby mediacji ze strony posłów z OKP woj. śląskiego na nic się nie zdały, więźniowie domagali się zrealizowania wcześniejszych obietnic m.in. tychże

posłów, maksymalnie wąskiego obszaru wyłączeń z amnestii oraz objęcia nią także recydywistów. Debata sejmowa oraz dyskusje senatorów transmitowane przez telewizję i radio obserwowane były z wielkim zainteresowaniem. Głosy wielu posłów z OKP i senatorów wywoływały euforie.

7 grudnia ubr., o godz. 17.17, po ogłoszeniu w „Teleexpressie” informacji o niepomysłnym dla rezydentów głosowaniu w Sejmie, skazani w ciągu 2-3 minut wyłamali lub wyrwali drzwi do wszystkich pawilonów, cel i przystąpił do ataku bramy głównej. 200 funkcjonariuszy z 6 kompanii reagujących przy użyciu środków chemicznych, petard, używając strzałobój ostrzegawczych z broni służbowej, opanowało sytuację. Skazani wycofali się i z różnego rodzaju sprzętu zbudowali potężne barykady, które podпали. W dalszym ciągu ustawiali formacje brame, w Czarnem powołano groźny oddział, w którym na czołowym szeregu posterunku miał pomóc popsyślejsi milicjanci z RUSW w Czuchowie, o godz. 21.00 przyjechali słuchacze.

tem wystąpimy do sądu o jego reje- strację.

Wydać się, że jesteśmy najbardziej zaawansowani w pracach nad utworzeniem związku, ale nie wynika z tego, że chcemy zawiązać kierownictwem pracą niezależnych związków zawodowych w MO. (Kirz.)

KRAKOWIACY BEZ EUFORII

— Jak na razie nie zauważamy ekscytacji związkami — mówi przewodniczący Rady Funkcjonariuszy SB i MO przy WUSW w Krakowie kpt. Alfred Cwikla. — Sądzę, że bierze się to stąd, iż nie ma jeszcze odpowiednich podstaw prawnych. Trudno się samemu oceniać, ale wydaje się nam, iż należyce wykonujemy swoje powinności względem współpracujących służb. Podejmujemy wiele przedsięwzięć z myślą zarówno o funkcjonariuszach, jak i członkach ich rodzin. (Kirz.)

STAN PRZEJŚCIOWY

POZNAN. Mówi por. Maciej Szuba, kierownik sekcji RUSW w Poznaniu:

— Obecny stan jest bez wątpienia przejściowy i od naszej zbiorowej mądrości zależać będzie, w jakim kierunku potoczą się dyskusja i prace organizacyjne przy powstawaniu związków w naszym resorcie. Nie chcemy, by gorę wzięły emocje.

Sposoby dochodzenia do nowej rzeczywistości związkowej nie powinny nas dzielić, jak i dezorganizować codziennej służby. Celem winna być milicja sprawna, lepiej wyposażona, mądra. (Jur.)

NIC O NAS BEZ NAS

14 grudnia na spotkaniu przedstawicieli wszystkich RUSW, WUSW oraz OPMO powołano tymczasowy Komitet Założycielski NSZZ Funkcjonariuszy MO województwa olsztyńskiego. Przewodniczącym został por. Janusz Wawrzyniewicz.

W myśl zasady „nic o nas bez nas” inicjatorzy związku oczekują, iż funkcjonariusze będą tymi, którzy pierwsi poznają dokumenty i przepisy decydujące o ich służbie. — Nie chcemy być niemyimi świadkami zachodzących w kraju przemian — mówi. — Resort nie może być ostoją konserwatyzmu, a wychodząca postawa kierownictwa nie może być utęszana za staniem w miejscu i odczuwaniu funkcjonariuszy.

15 grudnia br. na spotkaniu delegatów wojewódzkich komitetów założycielskich z Elbląskiego, Gdańskiego, Olsztyńskiego, Szczecińskiego oraz delegatów komitetów i grup inicjatywnych z RUSW — Tarnów, Koszalin i Bydgoszcz oraz SMO w Słupsku powołano Komisję Koordynacyjną Komitetów Założycielskich NSZZ Funkcjonariuszy MO z siedzibą w Gdańsku. Komisja Koordynacyjna ma charakter otwarty dla istniejących i tworzących się grup inicjatywnych, działających do czasu wyłonienia krajowej reprezentacji. (JOL.)

250 CHĘTNYCH W KALISZU

Przy telefonie chor. Zenon Trocha z sekcji dochodzeniowej:

— 22 listopada w RUSW wyłoniła się grupa inicjatywna, zmierzająca do powołania NSZZ Funkcjonariuszy MO. Ona z kolei powołała Komitet

ze Szkoły MO z Pity i Słupska. Mur oddgrazający zakład został szczelnie otoczony.

Wśród skazanych dochodziło do samosądów, faniych doprowadzano do bramy, wkrótce przyniesiono ciała dwóch zabitych. W wyniku zamieszek śmierć poniosło 6 skazanych, a 26 znajduje się w szpitalu. 32 funkcjonariuszy SW doznało obrażeń. Wstępny szacunek strat materialnych wynosi około 10 mld zł.

Inicjatywny. Do połowy grudnia akces zgłosiło już ok. 250 funkcjonariuszy. W tym także z niektórych wydziałów WUSW. Ponadto uzyskaliśmy poparcie części załóg: RUSW w Jarocinie, RUSW w Krotoszynie i Komisarzatu MO w Pleszewie.

Obok postulatów zbliżnych z innymi grupami mamy także własne, które chcielibyśmy zgłosić. (E. N.)

W ATMOSFERZE OCZEKIWANIA

BIAŁA PODLASKA. Powstała 7-osobowa grupa inicjatywna w RUSW Międzyrzec Podlaski. Pozostali milicjanci czekają na ustawę o działalności związkowej.

CHELM. Zainteresowanie związkami zawodowymi niezbyt wielkie. Powstały grupy inicjatywne w RUSW we Włodawie i Chełmie. W porozumieniu z Ogólnopolskim Komitetem Założycielskim NSZZ Funkcjonariuszy MO powstał komitet założycielski związków.

LUBLIN. Funkcjonariusze żyją bardziej oczekiwaniem na całkowite odpartynienie aparatu i oddzielenie SB od MO niż konsultacjami w sprawie związków zawodowych. Rady Funkcjonariuszy zdecydowanie oddziały się od ewentualności przekształcenia ich w związki zawodowe: chcą działać na dotychczasowych zasadach, aż do chwili prawnego uregulowania kwestii związkowej w resorcie. Największe zainteresowanie konsultacjami występuje w terenie. Powstały grupy inicjatywne w Bychawie, Lubartowie, Puławach i w RUSW w Lublinie, gdzie jednak były kłopoty z odbyciem zebrania (przybyło tylko 45 proc. delegatów). W samym WUSW atmosfera wyczekiwania.

ZAMOŚĆ. Na czele grupy inicjatywnej w zamójmskim RUSW stanął dzielnicowy, wyłoniony „oddolnie”, natomiast w Tomaszowie Lubelskim i Hrubieszowie przewodniczącymi grup stał się (automatycznie?) przewodniczący Rad Funkcjonariuszy.

RZESZÓW. Brak zdecydowanego zainteresowania konsultacjami wynika z oczekiwania na stworzenie warunków prawnych. Jedyne w RUSW w Mielsku utworzono — na bazie Rady Funkcjonariuszy — grupę inicjatywną, która jednak czeka na realną podstawę działania. (H. M.)

KROŚNO. 8 grudnia 1989 r. w WUSW w Krośnie powołano Tymczasowy Zarząd Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Resortu Spraw Wewnętrznych — Województwa Krośnieńskiego.

WAŁBRZYCH. Są dwie koncepcje, jedna tzw. wojewódzka, tj. utworzenie związków zawodowych na bazie Rad Funkcjonariuszy i druga, która wypłynęła oddolnie od milicjantów z RUSW w Wałbrzychu — utworzenie, też związków zawodowych. Tył że nikt nie wie, na jakim patentcie ma być to zrobione.

Próbowano na to okoliczność przepisać waszego kronikarza, tj. dziennikarza „Wsn”, ale niestety wiedzieliśmy, że co oni. Serce jestem z jednymi i drugimi. My — gliniarze — musimy trzymać się razem. (Z. Pod.)

ŁÓDŹ. Zgodnie z informacją rzecznika prasowego szefa WUSW w Łodzi, w mieście tym nie podjęto działań zmierzających do utworzenia związków zawodowych MO. (T. N.)

9 grudnia ub.r. o godzinie 11.00 wypełniając postanowienie Prezydium Rady siły porządkowe złamały opór i po 45–50 minutach zmagani skazanych przekazano w ręce funkcjonariuszy SW.

Sędziwo pozwolił ustalić i pociągnąć do odpowiedzialności karnej sprawców zabójstwa, uszkodzeń ciała, niszczenia więziennego mienia, czynnej napaści na funkcjonariuszy SW i MO.

HENRYK BARTECZKO
zdj. Zdzisław Kowcu

MILICJA INFORMUJE

(wybór zdarzeń kryminalnych)

● 5 grudnia 1989 r. w Katowicach ujawniono zwłoki dwóch mężczyzn w mieszkaniu przy ul. Warszawskiej. Zwłoki miały obrażenia głowy i twarzy, a mieszkankę została okradzona. Zabitymi są Andrzej J. (lat 49) i Ryszard Z. (lat 40). Śledztwo prowadzi MUSW w Katowicach.

● Tego samego dnia o godz. 19.20 w Białymostku przy ul. Mickiewicza wszedł do apteki mężczyzna, który grożąc kasjerce pistoletem ukraść metalową szufladę z zawartością 80 tys. zł. Personel apteki wszczął alarm, w wyniku którego przechodnie zatrzymali sprawcę. Jest nim Adam D. (lat 27), zamieszkały w Czarnej Białostockiej, przy którym znaleziono broń własnego wyrobu i 4 sztuki amunicji do kbks. Pieniądze odzyskano. Sprawcę napadu osadzono w areszcie.

● 8 grudnia 1989 r. w Brzezinach (skierńewickie) do mieszkania przy ul. Przedwiońce wdarli się dwaj mężczyźni, którzy zamknęli w szafie gospodarza Pawła Z. Zrabowali mienie o wartości 13 mln zł. Sprawcy zostali zatrzymani. Są nimi: Sławomir W. (lat 27) i Zbigniew L. (lat 18), obaj już karani. Skradzione przedmioty odzyskano.

● Tego samego dnia w Łodzi przy ul. Broniewskiego dwóch mężczyzn wszedł do mieszkania Genowefy T. (lat 67). Po okazaniu legitymacji podobnej do milicyjnej pobili oni gospodynię i grożąc jej użyciem siekierki zrabowali biżuterię oraz pieniądze. Pokrzywdzoną umieszczono w szpitalu.

● WUSW w Przemyślu przejął materiały z Urzędu Celnego przeciwko nie pracującej Barbarze F. (lat 27). Ustawiła ona wywieźć bez zgłoszenia opłaty celnej 25 komputerów i prawie 20 tys. dolarów amerykańskich, ogólnej wartości około 290 mln zł.

● W Olsztynie na dworcu PKP będący w stanie nietrzeźwym Waldemar P. (zwolniony z Zakładu Karnego w Kamińsku) i Dariusz P. wybili szybę w kiosku „Wars”, a następnie kawałkami szyby zaatakowali interweniujących funkcjonariuszy MO. Trzej milicjanci z Oddziału Prewencji MO w Olsztynie doznali obrażeń twarzy. Sprawców zatrzymano.

● 10 grudnia 1989 r. w Świebodzicach (wałbrzyjskie) uzbrojony w siekiere Zdzisław P. (lat 17) wybił szybę w sklepie meblowym i sporychym. Uszkodził autobus, karetkę pogotowia i przejeżdżący samochód osobowy. Następnie uszkodził radiowóz milicyjny. Sprawcę obezwładniono przy użyciu psa służbowego i przewieziono do szpitala psychiatrycznego. Straty przekroczyły 4 mln zł.

● Tego samego dnia w Katowicach dokonano napadu na mieszkanie przy ul. Bocianów. Sprawca zaatakował metalowym prętem śpiących Tadeusza i Ewelinę W.

● 11 grudnia 1989 r. w Łowiczu (skierńewickie) do sklepu spożywczo-monopolowego wszedł zamaskowany mężczyzna, który grożąc nożem zażądał wydania pieniędzy. W wyniku interwencji me- zła kierowniczki sklepu obezwładniono i zatrzymano Marka P. (lat 18), ucznia I klasy technikum mechanicznego.

● Tego samego dnia ujawniono włamanie, dokonane w Warszawie przy ul. Świerczewskiego. Niezna-

ni sprawcy po otwarciu zamka dopasowanymi kluczami weszli do mieszkania Haliny M., skąd skradli sprzęt radiowo-telewizyjny, odzież futrzaną, biżuterię oraz 13 tys. dolarów USA. Suma strat (poza dewizami) wynosi około 150 mln zł.

● 12 grudnia 1989 r. MUSW w Piekarach Śląskich (katowickie) został powiadomiony, że w mieszkaniu przy ul. Bytomskiej znajdują się zwłoki właściciela, Marka D. Na jego ciele ujawniono 3 ran kłutych, mieszkankę została sprowadzona. Ustalono, że jedną ze sprawczyń może być Jolanta S. (lat 23), niepracująca. Wszczęto poszukiwania.

● W Jezierzycach (gm. Darłowo) w gospodarstwie Władysława B. został zatrzymany sprawca kradzieży kur: Okazał się nim płt. Krzysztof A. z Komisarzatu MO w Darłowie, przebywający na urlopie wypoczynkowym. Wszczęto postępowanie.

● 12 grudnia 1989 r. w Warszawie przy ul. Płowieckiej została uprowadzona Katarzyna P. (lat 10). Użyty o godz. 21.50 pies tropiący doprowadził w okolicy Zajazdu Napoleońskiego, gdzie odnalazł dziewczynkę i sprawcę jej uprowadzenia — Jarosława O. (lat 28). Ustalono, że dokonał on na pokrzywdzonej czynu nielegalnego.

● Tego samego dnia w Kielcach trzech mężczyzn pobilo księdza parafii św. Józefa Czesława Sz. Zatrzymano w areszcie sprawców: Huberta S. (lat 17), Jarosława S. (lat 30) i Ireneusza W. (lat 29).

● 14 grudnia 1989 r. w Gdańsku do konwojanta kantoru wymłany walut Mariana W. podjechał polonezem zamaskowany mężczyzna, który zabrał mu neseser i w czasie szamotaniny strzelił pokrzywdzonemu w twarz z pistoletu gazowego. W neseserze znajdowało się ponad 1 tysiąc dolarów USA, 500 bonów PKO, 833 marki RFN i 16 mln zł.

● 15 grudnia 1989 r. w Opolu doszło do bójki pomiędzy kibicami „Odry” i „Kolejarza”. Milicjanci zatrzymali 22 osoby, w tym 14 nieletnich.

● 18 grudnia 1989 r. RUSW w Chojnicach powiadomiony został o zabójstwie kobiety na plebanii kościoła rzymskokatolickiego w Ostrowie. Ustalono, że sprawcy napadu 17 grudnia w godzinach wieczornych przedostali się na plebanie, gdzie udusił Salomeę O. (lat 77), a następnie zrabowali wzmocniacz i magnetofon, 4 piski skórzane i inne przedmioty. Milicja ustaliła, że zabójstwa dokonali najprawdopodobniej Marek K. i Leszek D., za którymi wszczęto poszukiwania.

● Tego samego dnia o godz. 2.20 w Ostroldzie (olsztyńskie) przy ul. Sienkiewicza dokonano włamania do sklepu „Unitra-Serwis”. Po wyrwaniu kraty zabezpieczającej oraz wypchnięciu okna sprawcy weszli do wnętrza i podczas wynoszenia sprzętu wartości 9 mln zł zostali zatrzymani przez funkcjonariuszy MO. Sprawcami są: Erwin G. (lat 18) i Marek W. (lat 18), których przekazano do dyspozycji prokuratora.

oprac. MAT

UWAGA CZYTELNICY!

Z datą 21 stycznia 1990 roku ukaże się kolejny, drugi w roku bieżącym numer „Magazynu Kryminalnego 997”. Czytelników czekają kolejne atrakcje, wśród nich drugi odcinek niezwykłych przgód Zdzisława Najmrodzkiego! Przypominamy, że magazyn kryminalny będzie się ukazywał w każdą pierwszą i третią niedzielę miesiąca.



Pylenie to postawiło pirnłnoŝu uczestników dyskusji, zorganizowane, przez redakcję naszego tygodnika, reprezentujacych funkcjonariuszy z posterunków, komisariatów, miejskich, rejonowych i wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych.

Zaprosiliśmy milicjantów o róŝnych poglądach. Funkcjonariuszy, którzy nieraz wypowiadali się na łamach czy to „Gazety Wyborczej”, czy resortowego tygodnika o konieczności reorganizacji milicji. Ich przekonania, choć czasem skrajnie róŝne, miały cechę wspólną: troskę o prestiŝ polskiej „policji”.

W dyskusji uczestniczył komendant główny MO gen. dyw. dr Zenon Trzcinski, który uważa, że zadaniem najważniejszym na dziś jest wspólne wypracowanie społecznie akceptowanego modelu „policji państwowej”.

Temu więc miała słuŝyć dyskusja, z której przedstawiamy obszernie fragmenty.



I CO DALEJ Z

Mł. chor. Zdzisław Milanowicz — komendant Posterunku MO w Końskowoli, woj. lubelskie: — Z niepokojem obserwujemy, że w resorcie nastał czas niepewności i oczekiwania. Między funkcjonariuszami terenowymi a centralą wytworzyła się próżnia. Funkcjonariusze MO zaczęli wątpić w celowość swojej służby w organach MO, wielu nie wytrzymuje społecznej presji oraz obojętności kierownictwa na pomówienia kierowane pod adresem funkcjonariuszy i odchodzi z resortu. Jest nam coraz trudniej pracować, zwłaszcza po utracie cennych przyjaciół, członków ORMO. Nowe siły polityczne nieobiektywnie oceniły ich dotychczasową działalność. Uważam, że naleŝą się ornowcom słowa uznania i serdeczne podziękowanie.

Jednostki terenowe w obecnej sytuacji muszą uzyskać większą samodzielność. Tymczasem nadal dominują ogórne zalecenia, dyrektywy, plany i akcje, niezliczona liczba sprawozdań. A ludzi nie przybywa. Nie przybywa równieŝ sprzętu. Nadal jedna maszyna do pisania przypada na 10 funkcjonariuszy.

Nadal nie wolno nam tankować pojazdów słuŝbowych w miejscowych CPN tylko w siedzibach RUSW oddalonych kilkanaŝcie kilometrów od miejsca słuŝby. I nadal obowiązują limity kilometrów. Uważam, że takie postępowanie jest marnotrawstwem. Za te niewielkie sumy można by kupić choćby jedną maszynę do pisania czy kodeksy karne, ustawy.

Borykamy się równieŝ z kłopotami mieszkaniowymi. Np. RUSW w Puławach nie otrzymał w ub. roku ani jednego mieszkania.

Nadal wysokie odznaczenia przypisane są do stanowisk w centrali, nam zaś oferuje się „blaszki”.

Co będzie z naszym resortem? Nas nikt o tym nie informuje, a plotki i niewiedza powodują dodatkowe podniecenie, napięcie.

Kpt. Roman Hula — zastępa szefa MUSW w Piekarach Śląskich, przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Załoŝycielskiego Niezależnych Związków Zawodowych Funkcjonariuszy MO:

— Największym nieszczęściem i problemem polskich milicjantów jest izolowanie się od nich społeczeństwa, które nie zapomniało kopalni „Wujek”. Gdańska... i tego, że przez wiele lat milicja wynosiła się ponad społeczeństwo.

Mój przedmówca ubolewał nad rozwiązaniem ORMO. Ja mam odmienne zdanie. Podam przykład z własnego podwórka. W Piekarach organizacja ormowska liczyła 513 członków, ale do słuŝby każdego dnia przychodziło 2, 3 osoby. Te 2, 3 osoby przychodzą nadal, mimo rozwiązania organizacji. My nie odczuwamy więc żadnej strategii. Stracili ci, którzy byli delegowani z pracy z kopalni, biorąc ciężkie pieniądze za te „społeczne” słuŝby.

Nasz program dotyczy przyszłości milicji zawarł w liście otwartym do premiera Tadeusza Mazowieckiego. Reakcją na to, w naszym re-

sorcie, była kolejna izolacja nas od środków masowego przekazu i innych funkcjonariuszy oraz obraza za to, że złoŝyliŝmy legitymacje partyjne.

Reform w naszym resorcie wciąż nie widać. Jeśli są, to tylko na papierze w gmachu ministerstwa. Do jednostek terenowych w każdym razie nie docierają. Tutaj nadal przywozi się ludzi w teczkach na kierownicze stanowiska...

Obecnie najłatwiej jest odejść z milicji. Toteŝ funkcjonariusze odchodzą i to masowo. I u nas byłoby podobnie, gdyby nie ów 14-punktowy list otwarty do premiera. Od momentu jego opublikowania wielu milicjantów wycofało swoje raporty o zwolnienie z organów. Społeczeństwo Piekar przestało izolować się od nas. Są tego konkretne efekty. Łapiemy coraz więcej sprawców przestępstw na gorącym uczynku, dzięki współpracy z górnikami i innymi mieszkańcami naszego miasta.

Chciałbym podkreślić raz jeszcze, że złoŝenie przez nas legitymacji partyjnych nie oznacza jakiegos tam przejścia do obozu wroga. My tego wroga po prostu nie widzimy. Chcemy pracować dla dobra całego społeczeństwa i nie naleŝeć do żadnej partii. Powinniŝmy więc wrócić do tradycji polskiej Policji Państwowej, która była całkowicie odpolityczniona, i każdy członek jakiegokolwiek partii wstępujący w jej szeregi swoją działalność musiał zawieŝć. Jeśli tak się stanie, to i dziś otworzą się bramy dla setek zainteresowanych pracą w policji. Żadamy także stanowczego oddzielenia nas wreszcie od Słuŝby Bezpieczeństwa. Proponujemy utworzenie czegoś w rodzaju Urzędu Ochrony Państwa. Obecnie cała armia ludzi w SB nie ma już nic do roboty. Gdyby tylko 50 proc. tych ludzi skierować do policji, sytuacja poprawiłaby się diametralnie.

Naleŝy także gruntownie zreformować milicyjne szkolnictwo. Utworzyć szkoły policyjne o specjalistycznych profilach, typowo zawodowych. Poza Szkołą Ruchu Drogowego w Piasecznie nie ma żadnej innej, kształcącej np. pracowników policji kryminalnej i innych specjalności. Jestem absolwentem WSO w Szczytnie, ale muszę przyznać, że ukończenie tej szkoły nie dało mi nic w porównaniu z pracą w wydziale kryminalnym KW MO w Katowicach. Dopiero tam od starszych kolegów nauczyłem się milicyjnego rzemiosła.

I jeszcze na koniec pytanie. Dlaczego do pracy w MO nie mogą się zgłaszać młodzi ludzie przed odbyciem słuŝby wojskowej? Jeżeli wybierają zawód policjanta, po co im 2 lata w koszarach i na poligonie? Przez ten czas mogliby skończyć policyjną szkołę z prawdziwego zdarzenia i zacząć pracę u nas?

Por. Andrzej Adamczyk p.o. komendanta XXIV Komisariatu MO Warszawa-Praga Północ: — Jestem przeciwny zarówno składaniu legitymacji partyjnych, jak i powoływaniu związków zawodowych. Jestem po prostu przeciwnikiem wszelkich działań ostentacyjnych i poŝpiesznych. Milicjant w moim przekonaniu nie powinien ulegać modom czy nastrojom. Będę więc mówił wyłącznie o sprawach zawodowych.

Jedną z ważniejszych spraw, którą uważam, można rozwiązać od ręki, są remonty kapitalne samochodów słuŝbowych, dokonywane teraz jedynie w wydziałonych stacjach. Karygodnym marnotrawstwem jest to, iż po-

jazdy muszą przebyć pół Polski, aby znaleźć się w naprawie. Jest to strata pieniędzy i czasu. Dlaczego nie wolno przeprowadzać remontów w stacjach obsługi zlokalizowanych najbliŝej siedziby danej jednostki MO? Drugie pytanie: dlaczego komisariaty MO wyposażono w nysy, które w warunkach miejskich nie zdają egzaminu? W ich miejsce powinniŝmy otrzymać samochody osobowe.

Inna sprawa. Do tej pory nie ma katalogu zadań, którymi powinien zajmować się np. dzielnicowy, referent. Przecież my nie jesteŝmy od łapania bezdomnych czy wścickłych psów, a z takimi poleceniami się spotykamy i musimy je wykonywać. Jeżeli już tak jest, to kaŝdy płacić sobie za czynności nie wchodzące w zakres naszych obowiązków.

Kaŝdy z nas ma pokryte biurko stertami papieru, dlaczego nie sięga się po nowoczesne rozwiązania np. komputery?...

Gen. dyw. dr Zenon Trzcinski — komendant główny MO: — W Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych, jak się orientuję, są terminale. Dochodzą mnie słuŝy, że nie są one naleŝycie wykorzystane.

Por. Andrzej Adamczyk: — Tak, są, ale zainstalowano je tylko w wydziale poszukiwań i rozpoznania. Nie ma natomiast drukarki. Dawniej od ręki można było otrzymać interesujące nas dane, teraz po nie trzeba zgłosić się następnego dnia po złoŝeniu zapotrzebowania. Toniemy w papierach.

Gen. dyw. dr Zenon Trzcinski: — Podzielał pogląd, że przepływ informacji pomiędzy centralą a terenowymi jednostkami MO jest mocno niedoskonały. Nie pierwszy zresztą raz o tym słuŝy. Mimo to wciąż nie udaje się nam niczego w tym względzie poprawić. Przyczyny tkwią gdzieś na szczeblach pośrednich.

Nie zgadzam się natomiast z twierdzeniem, że nie robi się nic w ramach reorganizacji. W 1989 r. znacznie zwiększono etatowo MO. Ja wiem, że dla wielu jednostek to nic nie znaczy, bo same etaty do pracy nie pójdą. Ale faktem jest, że liczby te uległy znacznym przeobraŝeniom. Obecnie procentowo wygląda to następująco: Z całej liczby etatów w MO na KG MO przypada 0,7 proc., WUSW — 11,5 proc., RUSW — 51,4 proc. komisariaty i posterunki MO — 18,8 proc., a nadto 20,1 proc. stanowią Oddziały Prewencji MO. Ponadto realizowane są postanowienia o połączeniu pionu prewencji i operacyjnego oraz pionu kryminalnego z pionem do walki z przestępcstwami gospodarczymi.

Zwiększyliśmy też zakres kompetencji szefów poszczególnych jednostek w terenie.

którzy mogą bardziej swobodnie manewrować etatami. Kierownictwo MSW w dalszym ciągu pracuje nad szerszą jeszcze reorganizacją.

Na całym świecie w policji odróżnia się 2 rodzaje stanowisk: policyjne i urzędnicze. Te drugie nie posiadają stopnia i policyjnego władztwa. U nas jest kilkanaście tysięcy pielęgniarzek, sekretarek i innych urzędników posiadających wszystkie policyjne uprawnienia.

Kolejną bolączką, będącą przedmiotem mojego stałego zainteresowania, jest biurokracja. Ale pamiętać trzeba, że zawód milicjanta nie sprowadza się do etapu „wiem”. Pozostaje jeszcze drugi „muszę to udowodnić”. Jak długo kodeks postępowania karnego będzie przewidywał tak szeroki udział funkcjonariuszy MO w postępowaniu, tak długo milicjanci będą musieli grzebać się w papierkowej robocie. Tę sytuację może zmie-

motocykla jest ułomna. Wytwarzane na Zachodzie motocykle kosztują około 20—25 tys. dolarów. Samochody od 30 do 50 tysięcy dolarów, a z wyposażeniem policyjnym przekraczają niekiedy kilkadziesiąt tysięcy dolarów. W miarę ustępowania zagrożeń wojennych na świecie przemysł zbrojeniowy przestrasza się na produkcję dla potrzeb policji. Zapowiada to rewolucję w technicznym wyposażeniu policji. My natomiast nie możemy dotąd wprowadzić nawet techniki komputerowej. Mamy chyba największy na świecie zbiór daktyloskopijny, ale stosowanie techniki manualnej eliminuje praktycznie jego przydatność. Koszt skomputeryzowania tej jednej dziedziny wyniosłby 1 200 000 dolarów. Mamy chyba najlepszy w państwach Europy Wschodniej Instytut Kryminalistyki; znakomitą Szkołę Ruchu Drogowego i musimy dbać, by tego dorobku nie zmarnować.

Opóźnienia mamy straszliwe — fakt. Pamiętać jednak trzeba, że przejście na technikę komputerową, na nowoczesność w po-

W lipcu 1989 r. miało miejsce pobicie pikietujących przed Sejmem. I nagle usłyszeliśmy, że decyzję wydało kierownictwo DUSW Warszawa-Sródmieście. To kłamstwo. Decyzja o tej „akcji” zapadła znacznie wcześniej.

Nie zgadzam się także z tymi, którzy twierdzą, że związki zawodowe w MO są niepotrzebne. Jak bardzo są potrzebne, uświadamia właśnie ta sprawa. Kto będzie bronił niesłusznie oskarżonych milicjantów?

Słyszymy także nieraz, że do najbardziej zagrożonych przestępczością jednostek MO przekazuje się ludzi i samochody, że DUSW Warszawa-Sródmieście dostał ich tyle a tyle. Ale to także kłamstwo.

Komendant główny MO musi podjąć walkę o wyodrębnienie policji z resortu, z osobnym funduszem i osobną polityką, gdyż ta obecna jest nie do przyjęcia przez większość milicjantów na dole.

Czy ktoś wreszcie zacznie prostować szkalujące milicjantów informacje zamieszczane w środkach masowego przekazu, jak choćby te najbardziej grubymi nićmi syte i nieudolne z pierwszego wydania telewizyjnych „Wiadomości”? Dokąd będziemy przyjmować to w pokorze i milczeniu? Na drugi dzień po tej informacji wystąpił przed kamerami ppłk W. Garstka i ani słowem nie mówił na ten temat. Chcielibyśmy prosić, by w sprawach MO wypowiadał się rzecznik prasowy komendanta głównego MO.

Gen. dyw. dr Zenon Trzciniński: — Uwaga, że należy stworzyć w milicji związek zawodowy, potrzeby dyktują aktualne warunki. I musi się to odbyć w majestacie prawa. Oczywiście nie obejdzie się bez sporów i polemik, ale w sumie chyba o to chodzi, a nie o serwilizm. Ale związek ten nie powinien należeć do żadnej federacji. Musi być całkowicie niezależny. Nie boję się współpracy z takim związkiem, choć wiem, że nie będzie on układowy, grzeczny, że będzie kierownictwu patrzył na ręce.

Musimy pamiętać, że milicja służy do tego, by wykonywać powinności, jakie narzuca jej państwo i rząd. Państwo natomiast jest instytucją polityczną. Toteż należy odróżnić odpartymentowanie od odpolitycznienia. Milicja służy konkretniej władzy państwa, wej z natury rzeczy jest polityczna. Nie należy tworzyć mrzonek, że może się to zmienić. Najważniejsze jednak, aby zarówno milicjant o przekonaniach lewicowych, jak i ten o prawicowych czy centrystycznych, pracowali dobrze, fachowo.

Por. Jan Dębicz — dyżurny RUSW w Zakopanem: — Ja chciałbym po prostu zadać kilka pytań: Co dzieje się z pieniędzmi przeznaczonymi na place za nie obsadzone etaty? Czy będą opłacone godziny nadliczbowe? Kiedy przeciętny milicjant spoza centrali będzie mógł otrzymać wczasy w sezonie urlopowym? Czy utrzymane zostaną niższe na PKS i PKP dla funkcjonariuszy i ich rodzin? Dlaczego przez ostatnie 20 lat resort spraw wewnętrznych, mimo rzekomo korzystnego klimatu politycznego, był niedoinwestowany? Kogo za to winić?

Gen. dyw. dr Zenon Trzciniński: — Dotychczas pieniądze za wakaty nie były uruchamiane. Obecnie rozważana jest kwestia, aby przekazać je na fundusz nagród. Zamiast opłat za godziny nadliczbowe dla pracowników operacyjnych powinien być wysoki dodatek specjalny, dla pozostałych natomiast opłaty za dodatkowe służby.

Płk inż. Julian Kantele, naczelnik Wydziału Łączności WUSW w Krakowie: — Obieg informacji w resorcie nie odpowiadał oczekiwaniom zarówno społeczeństwa, jak i funkcjonariuszy. Występuje zator w przyjmowaniu, a następnie przetwarzaniu danych. Jest nadal wiele przypadkowości w działaniu, niefachowości. Wciąż występuje, ba, nasilają się dysproporcje między funkcjonariuszami pełniącymi służbę w pierwszej linii i tymi będącymi na zapleczu. Zbyt wiele osób zajmuje się planowaniem, wytyczaniem kierunków działania. Nastąpiło zmniejszenie operatywności sił milicyjnych, kry-

MILICJA

nić tylko reforma unormowań proceduralnych.

Inną oczywiście sprawą są wywiady środowiskowe dla najprzeróżniejszych instytucji, zabawy w komorników, listonoszy etc. Niejednokrotnie już prosiłem, aby funkcjonariusze MO nie przyjmowali na swoje barki tych obowiązków. A robi się to w terenie niekiedy na zasadzie prywatnych układów i dośrodkowych stosunków.

W najbliższych tygodniach wydam polecenie obligujące funkcjonariuszy do odstąpienia od: ustalania tożsamości osób opuszczających izby wytrzeźwień, które nie były doprowadzone przez funkcjonariuszy MO; przeprowadzania wywiadów środowiskowych o osobach uzależnionych od alkoholu na zlecenie komisji ds. przeciwdziałania alkoholizmowi; przekazywania terenowym organom administracji państwowej informacji o osobach uchylających się od pracy; udzielania wywiadów o osobach organom innym niż sądy, prokuratury, organy uzupełnień MON, WSW oraz szefowie i komendanci jednostek MO; doręczania korespondencji na zlecenie sądów i prokuratur w sprawach nie związanych z prowadzonym przez MO postępowaniem przygotowawczym lub zleconą czynnością procesową; udzielania pomocy i asysty organom lub osobom nie uprawnionym do wykonywania czynności egzekucyjnych; ochraniać eksponatów muzealnych w czasie transportu; ochraniać transportów pieniędzy pomiędzy oddziałami zasilającymi NBP i bankami lokalnymi.

Polecę również ograniczenie takich czynności, jak np. udział funkcjonariuszy w społecznych komisjach i kontrolach; doprowadzanie do izb wytrzeźwień i aresztów MO oraz miejsc zamieszkania osób nietrzeźwych, które nie popłynęły przestępstwa lub wykroczenia; przeprowadzanie postępowań wyjaśniających w sprawach nieletnich na zlecenie sądów rodzinnych, poza wymogami określonymi w art. 37 ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich; ustalanie miejsca zamieszkania i miejsca pracy dłużników Skarbu Państwa na zlecenie organów skarbowych, jednostek gospodarki społecznej, organizacji społecznych i komorników.

Nie jest to wszystko, czego oczekują już dziś, zaraz, przeciągnięcia prac milicjanci, ale stanowi na pewno duży krok do przodu.

Jeśli chodzi o wyposażenie milicji, to zgadzam się z opinią, że jest ono fatalne. Polski przemysł po prostu nie jest w stanie zaspokoić naszych potrzeb. Ani polonez, ani nysa, nie są samochodami nadającymi się dla potrzeb MO. Ponadto w Polsce nie produkuje się żadnego motocykla, a policja bez

licji, nie jest możliwa w ciągu miesiąca czy nawet roku.

Mjr Marek Luty — komendant XVIII Komisariatu MO Warszawa-Stare Miasto: — Nawiązując do wypowiedzi kpt. Huli chciałbym przypomnieć, że ofiary były po obu stronach. Nie można zapomnieć o tragedii rodzin funkcjonariuszy, którzy wykonywali w dobrej wierze rozkazy i których nie ma już wśród żywych. Nie można zapomnieć o tych, którzy zmagają się i zmagać się będą do końca swoich dni z kalectwem i biedą, na którą „skazuje” ich inwalidzka rentata...

Kpt. Roman Hula: — Znam te sprawy. W kopalni „Wujek” zginął mój przyjaciel — funkcjonariusz. Drugi kolega do dziś po tamtych przeżyciach nie odzyskał równowagi psychicznej. Znałem również tego milicjanta, który na skutek tamtych przeżyć — był zakładnikiem w kopalni „Wujek” — popełnił samobójstwo.

O tych ludziach, ich tragedii nie można również zapomnieć (...).

Uczestniczę obecnie w pracach społecznego zespołu do spraw legislacyjnych w Krakowie, który przygotowuje ustawę o policji państwowej, i tam nikt nie zamierza prowadzić odwetowej polityki...

Redakcja: — Czy poza panem, są w tym zespole inni funkcjonariusze, i czy redakcja mogłaby prosić o pomoc naszemu przedstawicielowi w udostępnianiu dodatkowych informacji o pracy zespołu?

Kpt. R. Hula: — Zwrócę się z tym do prof. Widawskiego. Postaram się pomóc.

Mjr Marek Luty: — Wracając do kwestii zawodowych chciałbym powiedzieć, że zwalnianie się z pracy funkcjonariuszy MO, brak środków technicznych i wzrost przestępczości to są objawy kryzysu, a nie jego przyczyny. Te ostatnie tkwią gdzieś indziej. Nasza sytuacja przypomina coś w rodzaju „Czekania na Godota”. Nie wiem, czy komendant główny MO może tę sytuację zmienić. Z wielu faktów wynika, że raczej nie. MSW to moloch, który jest dla nas synonimem niesprawności; KG MO jest tylko przybudówką (...).

Każdy funkcjonariusz w terenie na kolejną kontrolę z GIM reaguje agresją i trudno mu się dziwić. To nieprawda, że w resorcie nie ma biurokracji poza tą proceduralną, o której mówił pan Generał. Centrala żąda od nas kosztownej liczby sprawozdań, nie mających nic wspólnego z pracą wykrywcą, a jedynie z nikomu niepotrzebną statystyką. Budzi to oburzenie i złość milicjantów, których wciąż bezsensownie odrywa się od pracy.



997

KRONIKA

pod redakcją
JANA PŁOCIENNICZAKA
I TADEUSZA NOSZCZYŃSKIEGO

■ Dzielnicy Jan Szkielka z Poznania oraz pozostali zwolennicy, a przede wszystkim tysiące wielbicieli pptk. Jana Płocienniczaka, autorów i autorek listów do KG MO i OTV w Łodzi mogą znów spać spokojnie. Inspektor Biura Kryminalnego i telewizyjny prezenter w jednej osobie zdecydował się, mimo wcześniejszych negatywnych zamierzeń, nadal prowadzić program z cyklu „997”.

Być może wpływ na tę decyzję miało ujęcie najgroźniejszego w ostatnich latach polskiego gangstera Zdzisława Najmrodzkiego i to tuż przed wydaniem specjalnym „997” w listopadzie, co z kolei nie pozostało bez znaczenia dla złagodzenia agresywności prowadzącego program red. Michała vel Mariana Fajbusiewicza z OTV w Łodzi. Już ostrzyli sobie zęby, by dołożyć milicjantom, w dodatku nie za ich grzechy. Tymczasem rozeszło się po kościach, choć miejscami — jak

zgodnie przyznali wszyscy rozmówcy przed kamerami — powiało grozą.

Inna z hipotez dotycząca takiej właśnie decyzji pptk. Jana Płocienniczaka sugeruje, iż ostatnie sukcesy wykrywcze programu „997” skłoniły go do dalszej współpracy. Sam zainteresowany natomiast dotąd nie wie, jak to się stało, że po raz kolejny dał się namówić.

A teraz przypomnimy jedną ze spraw, prezentowanych niedawno w telewizyjnym wydaniu „997”, która dzięki reakcjom widzów i pełnej poświęcenia pracy milicjantów została wyjaśniona, choć jeszcze nie do końca.

ZWŁOKI NA WYSYPISKU

4 października 1989 r. jeden z mieszkańców Bełchatowa penetrował miejscowe wysypisko śmieci poszukując złomu. W pewnym momencie natknął się na coś dziwnego. Początkowo po-



myślał, że to spalony manekin, ale kiedy podszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie, zorientował się, że leżą przed nim zwłoki ludzkie...

Kilkanaście minut później na miejsce makabrycznego znaleziska przyjechała milicyjna ekipa. W czasie oględzin stwierdzono, że są to zwłoki mężczyzny. Sekcja zwłok ujawniła natomiast, iż mężczyzna ten zmarł na skutek odniesionych 2 ran postrzałowych z pistoletu.

O tym szokującym znalezisku Jan Płocienniczak poinformował najpierw słuchaczy „Czterech pór roku” podczas jednego ze swoich czwartkowych radiowych programów. Następnego dnia do WUSW w Piotrkowie Trybunalskim zgłosiła się pani Daniela Gradowska, mieszkanka wsi Byzowo. Stwierdziła, że kilka dni temu zaginął jej mąż, 35-letni Wiesław Gradowski. Kobiecie pokazano szczątki odzieży spalonego mężczyzny. Pani Gradowska nie miała wątpliwości. Z całą stanowczością rozpoznała je jako należące do jej męża.

Przez kilka ostatnich lat, jak zeznała, pan Wiesław zajmował się handlem obwoźnym, choć nie miał na to żadnego zezwolenia. Handlował wszystkim czym się dało, od piwa po walutę i samochody. Przy tej okazji nawiązywał mnóstwo znajomości w całej Polsce. W interesach pomagał mu mężczyzna imieniem Darek czy Arek.

Pan Wiesław, ojciec trojga dzieci, często znikał z domu na całe tygodnie. Po powrocie dysponował zawsze sporą gotówką i nowymi towarami. Ostatnio przepadł na półtora miesiąca. Za to gdy wrócił, pokazał żonie legalne zezwolenie na handel obwoźny. Ponadto do Byzowa przyjechał pomarańczowym maluchem o numerze rejestracyjnym W...O (środkowej litery pa-

ni Gradowska nie zapamiętała) 1956, choć z domu wyjechał bordowym fiatem 125p. Skąd ta zmiana? Tego nie wyjaśnił nawet żonie.

Dopiero w toku śledztwa ustalono, że bordowego fiata 125



pan Gradowski zamienił w sierpniu ub.r. na warszawskiej giełdzie samochodowej na niebieską nysę, a tę z kolei w kilka tygodni później, we wrześniu 1989 r. na pomarańczowego fiata 126p, którym to samochodem zawitał do domu 27 września 1989 r. by dwa dni później o 7.00 rano znów wyjechać. Od tej pory ślad po nim zaginął. Nie odnaleziono także jego samochodu.

Milicjantom natomiast udało się ustalić, że między 13 sierpnia a 27 września 1989 r. pan Gradowski przebywał w Warszawie w towarzystwie kolegi imieniem Arek. Obaj znaleźli lokum prawdopodobnie na Woli w mieszkaniu swojego wspólnego znajomego zwanego „Genkiem”. W towarzystwie tych mężczyzn widziano pana Wiesława sprzedającego m.in. piwo na dworcu w Warszawie i Częstochowie...

Tyle było wiadomo na ten temat w listopadzie. Po emisji programu „997” dzięki reakcji widzów zatrzymano w Warszawie Arkadiusza R. oraz odzyskano pomarańczowego malucha należącego niegdyś do zamordowa-



GRUNT TO RODZINKA

nego. Zatrzymany uparcie twierdzi do dziś, że zabójstwo Wiesława Gradowskiego było nie-
szczęśliwym wypadkiem. Podejrzany, notabene strażnik łowiecki, strzelał ponoć z broni krótkiej do sarny i w ten sposób trafił niechcący swojego kolegę, który ową sarnę mu rzekomo nagał. Aż dziw, że w takiej sytuacji ugodził go dwiema kulami i to z bliskiej odległości. Następnie ukrył broń, a zwłoki przeniósł na wysypisko i podpalił jakieś 50 metrów od miejsca „polowania”.

Samochód swojego przyjaciela sprzedał na giełdzie mieszkań-
ców Torunia. Pewnie także przez przypadek.

Kolejna sprawa emitowana we
wcześniejszym programie „99”, która
jest już wyjaśniona, dotyczyła zagi-
nięcia Krzysztofa Kuza z Pszczonowa,
21-letniego murarza, który po pija-
nemu pokłócił się z ojcem i wyszedł
z domu w nieznane.
Kilkanaście dni temu znaleziono
jego zwłoki w lesie. Jak wynika z
sekcji, popełnił samobójstwo.

POSZUKIWANA



Jest także Renata Frankowska z
Kartuz. Zaginęła 26 sierpnia 1987 r.
Życie z mężem nie układało jej się.
Spotkała natomiast kierowcę auto-
busu, z którym zaprzyjaźniła się.
Krytycznego dnia wyjechała ze swo-
im przyjacielem autobusem przezeń
prowadzonym do Płocka. Od tej po-
ry ślad po niej zaginął. Może ktoś
rozpozna ją na prezentowanym zdję-
ciu?

MORDERCA Z WAKACJI

2 października 1989 r. sąsiad
państwa Świebodów z Warszawy
około godziny 19.30 zapukał do
drzwi ich mieszkania prosząc o
klucz do piwnicy. W środku,
oprócz pana domu, dostrzegł
dwóch nie znanych mu osobni-
ków. Następnego dnia rano
chciał zwrócić pożyczony klucz.
Na pukanie nikt jednak nie re-
agował. Sąsiad na wszelki wypa-
dek nacisnął klamkę. Drzwi
ustąpiły...

Niemilosierny bałagan panują-
cy w mieszkaniu zaskoczył zaglą-
dającego niepewnie przez uchyl-
one drzwi. Gdy wszedł do pokoju

zrozumiał, co się stało. Na pod-
łodze w kałuży krwi leżał właś-
ciiciel mieszkania. Nieznani
sprawcy zadali mu kilkanaście
uderzeń w tył głowy jakimś cięż-
kim narzędziem, prawdopodobnie
tłuczkiem do mięsa.

Pan Andrzej Świeboda przed
laty był członkiem znanego zesp-
olu estradowego „Mortale”.
Zwiedził cały świat. Od kilku lat
już jednak nie pracował. Natom-
niast jego żona Krystyna pro-
wadziła sklep z pamiątkami.

Tamtego dnia pani Krystyna
wybrała się do ZSRR. Około
godziny 18.00 jej mąż odwiózł ją
na dworzec...

Pani Krystyna przypomniała
sobie, że dzień przed wyjazdem
1 października 1989 r. odwiedził
ich znajomy imieniem Marek.
Poznali go w lipcu na wakac-
jach w Łebie na jednej z dysko-
tek. Towarzyszył ich przyjaciółce
Barbarze.

Milicjanci ruszyli tym tropem.
Już wkrótce okazało się, że na-
ręczony z wakacji, wykorzystują-
cy ufnosć pani Barbary, okradł
jej mieszkanie zabierając ponad
5 milionów zł w biżuterii, po-
czym przepadł bez śladu.

Marek podczas wizyty u pań-
stwa Świebodów twierdził, że do
Warszawy przyjechał razem z
Basią, zatrzymali się w hotelu i
jutro, tj. 2 października przyjadą
we dwoje. Wtedy właśnie dowie-
dział się, że pani Krystyna sam-
ojedźdzą, a pan domu zostanie sam.

Konfrontacja zdjęć zrobionych
na dyskotekę w Łebie Markowi
z zeznaniami sąsiada pożyczają-
cego klucz do piwnicy nie pozos-
tawiła żadnych wątpliwości pro-
wadzącym śledztwo. Ten właśnie
człowiek był tego dnia w towa-
rzystwie swojego kolegi w mieszk-
aniu państwa Świebodów. Zo-
stał on zatrzymany.

21-letni Marek Makowski naj-
częściej przedstawiał się jako
Marek Rodas. Twierdził, że jego
rodzice prowadzą 2 pensjonaty
koło Zakopanego. W hotelach,
motelach i innych miejscach,
gdzie wymagane są obowiązki
meldunkowe, posługiwał się do-
wodem osobistym na nazwisko
Jerzego Mroźka, ukradzionym na
wspomnianych już wakacjach w
Łebie.

Ktokolwiek mógłby udzielić in-
formacji w prezentowanych po-
wyższych sprawach, proszony jest o
telefoniczny lub listowny kontakt
z naszą redakcją, Biurem Kry-
minalnym KG MO lub najbliższą
jednostką milicji.

zdj. i reprodukcje
T. Noszczyński



Było to zwyczajna interwencja w tuzinkowej sprawie.
Dwóch pijanych zakłócało bezpieczeństwo na jezdni, a mili-
cjant usiłował przywołać ich do porządku. St. kpr. Jan Kuś
nie wiedział wtedy, że ma do czynienia z jednym z rodziny C.
Niewykluczone, że gdyby to wiedział, nie podjąłby tej inter-
wencji, lecz od razu powiadomił komisariat. Ale nawet wtedy
dalsze wydarzenia prawdopodobnie potoczyłyby się tak samo,
chyba że inni funkcjonariusze, lepiej znający ród C., przy-
mknęliby oko na wykroczenia, byleby tylko mieć święty spo-
kój. Stało się jednak tak, jak stać się powinno i przez to
zwyczajna interwencja przeciw tuzinkowemu wykroczeniu za-
kończyła się sprawą, w której jest 6 pokrzywdzonych i 7 oskar-
żonych...

13 czerwca po południu st.
kpr. Jan Kuś wybrał się wraz
z żoną po zakupy. Jechali właś-
nie jedną z głównych ulic mia-
sta, gdy ich oczom ukazał się
taki oto widok: po przeciwnym
pasie ruchu, wolnym, lekko
chwilem krokiem szło sobie
dwóch mężczyzn, za nimi zaś
metr po metrze wolniutko po-
ruszały się samochody. Wyglą-
dało to jak procesja i byłoby
nawet zabawne, gdyby nie było
niebezpieczne. W pewnej chwili
mężczyźni zmienili pas ruchu
znajdując się nagle przed samo-
chodem st. kpr. Kusia i zmu-
szając go do zatrzymania się.
Kuś uchylił szybę samochodu i
zawołał, żeby zeszli z jezdni, w
odpowiedzi jeden z pijanych
walnął pięściami w dach samo-
chodu. Funkcjonariusz wysiadł
z auta, złapał mężczyznę za rękę
i wprowadził go na chodnik,
ale gdy tylko się tam zna-
leźli, pijany chwycił go za kła-
py i wyrzucił nim w słup.

— Jestem milicjantem — po-
wiedział Kuś — i pójściecie ze
mną do komisariatu — na co
dostał cios pięścią w twarz od
drugiego mężczyzny. Nim złapał
oddech, dostał po raz kolejny.
Ochłonął i chwycił milicyjnym
obezwładnił jednego z napastni-
ków przewracając go na ziemię.
Krzyknął do żony, żeby jecha-
ła na komisariat i prosiła o
przysłanie tu radiowozu. Gdy
przytrzymał leżącego mężczy-
znę, ten drugi usiłował odcią-
gnąć go od kolegi wyzywając,
ubliżając i ponownie waląc go
pięścią w twarz. Milicjant chwy-
cił go za rękę, pociągnął, a pi-
jany zatoczył się i upadł na
trawnik. Całą tę scenę zobaczył
przejeżdżający właśnie kierowca
fiata, który pospieszył milicjan-
towi z pomocą. Teraz już we
dwoje trzymali wyrwujących się
mężczyzn i czekali na przyjazd
samochodu. Nagle podbiegła do
nich znana im Danuta C. — jak
się okazało siostra jednego, a
bratowa drugiego z zatrzyma-
nych — wołając, aby ich pus-
cili.

— Zaczęła mnie szarpać i od-
ciągać od brata, a gdy to się nie
udało, rzuciła się na mnie ni-
czym lwica, drapiąc po szyi, a
następnie z całej siły gryząc w
palec — mówi st. kpr. Jan
Kuś. — Puściłem trzymanego
mężczyznę, ale na szczęście właś-
nie w tym momencie zatrzymał
się przy nas samochód nauki
jazdy, z którego wyskoczyło
dwóch mężczyzn i pospieszyli
nam z pomocą, a minutę póź-
niej nadjechał radiowóz. Wspól-
nymi siłami zapakowaliśmy oby-
dwu delikwentów do samocho-
du, przy czym tego agresywniej-
szego trzeba było skuć w kaj-
danki. Radiowóz odjechał, po
mnie przyjechała żona i rów-
nież udaliśmy się do komisaria-
tu...

Dyżur w komisariacie pełnił
tego dnia mł. chor. Marian
Ślachta.

— Kiedy tylko zobaczyłem,
kogo przywieziono, od razu czu-
łem, że może się skończyć jakaś
draka. Z rodziną C. miałem już
do czynienia, perypetie z nimi
mieli też inni koledzy — mo-
wi. — I faktycznie. Ledwie we-
szli na dyżurkę, C., który nie
był skuty, rzucił się na mł. chor.
Romana Kubowę, który ich
wprowadził, klnąc, ubliżając, je-
mu, mnie i całej milicji. Od-
ciągnąłem go od kolegi. W tym
czasie w komisariacie było nas
tylko dwóch, zatrzymanych też
dwóch, więc widząc ich agre-
sywność postanowiłem założyć
im kaftany bezpieczeństwa. Uda-
ło nam się to z jednym, potem
z drugim, ale ile przy tym do-
stałiśmy „gestapowców” i „ta-
kich synów” nie zliczę — opo-
wiada dyżurny.

W tym czasie przyjechał do
komisariatu st. kpr. Jan Kuś.
Od razu wszedł do łazienki, że-
by zatamować krwotok z nosa.
Moment później usłyszał krzy-
ki w poczekalni. Gdy wyszedł,
klebiło się tam kilka osób krzy-
żując jedną przez drugą i ubli-
żając.



W SZPONACH NARKOMANII



Tygodnik NEWSWEEK zamieścił zbiorcze opracowanie oparte na materiałach nadesłanych przez własnych korespondentów z Londynu, Paryża, Bonn i Rzymu poświęcone coraz poważniejszemu problemowi narkomanii w krajach Europy Zachodniej. Chociaż zjawisko to nie osiągnęło jeszcze takich rozmiarów, jak w Stanach Zjednoczonych, to jednak tygodnik stwierdza, że narkomania może być „widmem wiszącym nad Europą”.

Kiedy Robert Stutman, amerykański urzędnik śledczy ds. narkotyków, rozmawiał w kwietniu ub.r. z grupą oficerów brytyjskiej policji, przestrzegali ich, aby przygotowali się na ciężkie czasy. „Mogę wam osobiście zagwarantować, że za dwa lata od dzisiaj będziecie mieli poważny problem z kokainą” — powiedział im.

Przedstawiciele władz państw europejskich — zwłaszcza w Anglii — już przedtem informowali o dowodach obecności kokainy typu „crack” (wstępnie oczyszczonej, najtańszej i najbardziej rozpowszechnionej wśród narkomanów) w ich granicach. Jednakże ta nadająca się do palenia, wydająca szybki nałóg pochodna kokainy, jest znacznie mniej popularna w Europie niż w Stanach Zjednoczonych. Na starym kontynencie częściej zżywa się heroinie, haszysz, marihuane oraz narkotyki syntetyczne.

Mimo to, ilość kokainy konfiskowanej w Europie stale wzrastała w ciągu ubiegłej dekady, począwszy od 155 kg skonfiskowanych w roku 1987 aż do prawie 5,5 tony w roku 1988. Liczba przypadków konfiskowania kokainy „crack” jest mniejsza, ale również niepokojąca. Władze brytyjskie zatrzymały pięć dostaw kokainy „crack” w pierwszej połowie roku 1987 i już 12 takich dostaw w tym samym okresie roku 1988. Do czerwca ub.r. skonfiskowano 36 przesyłek tej odmiany kokainy.

Te wzrastające statystyki zaczynają uruchamiać sygnały alarmowe w Wielkiej Brytanii. W maju ub.r. aresztowano 20 osób, kiedy ok. 500 wyrostków obrzuciło policjantów, którzy dokonali nalotu na handlarzy „crackiem” w jednym z pubów w Wolverhampton, bombami benzynowymi. Nastroje zaniepokojenia podsycają dodatkowo sugestywne reportaże telewizyjne z melin narkomanów w Stanach Zjednoczonych, przedstawiające m.in. upośledzone dzieci ofiar nałogu oraz młodocianych narkomanów, którzy nie ukończyli jeszcze 10 lat, a także morderstwa popełnione w związku z narkomanią.

Zdaniem superintendenta Boba Morrisa, z policji okręgu West Midlands, „magnaci narkotyków z Ameryki Południowej już obecnie patrzą dalej, poza Stany Zjednoczone, gdzie rynek został już nasycony. Potrzebują oni nowego rynku, a Europa jest właśnie takim rynkiem”.

Wielka Brytania zaczęła już stosować posunięcia prewencyjne. Minister spraw wewnętrznych Douglas Hurd opublikował oświadczenie przedstawiające plany rządu w dziedzinie zwalczania tego, co określili jako „widmo wiszące nad Europą”.

Propozycje te przedstawiono po niedawnym raporcie Komisji ds. Wewnętrznych poświęconym problemowi kokainy „crack”, w którym wezwano do zakrojonej na ogólnokrajową skalę, intensywniej kampanii zwalczania tego narkotyku. W uzasadnieniu apelu powołano się na przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie narkomania oparta na zżywaniu kokainy „crack” przybrała już rozmiały epidemii. Według raportu, „crack” jest powodem połowy wszystkich aresztowań w Nowym Jorku.

Hurd odrzucił jednakże propozycje działań wymierzonych wyłącznie przeciwko kokainie „crack”. Zamiast tego zaproponował ogólną kampanię przestrzegającą przed nadużywaniem wszelkiego rodzaju narkotyków. We-

ług jego planu rząd powinien przeznaczyć więcej pieniędzy na przestrzeganie prawa na terytoriach zamorskich, wysłać za granicę więcej funkcjonariuszy ds. zwalczania narkotyków w celu usprawnienia działalności wywiadowczej wymierzonej przeciwko handlarzom, powołać specjalne zespoły celne do zwalczania przemytu kokainy oraz przeznaczyć 9,1 mln funtów w ciągu czterech lat na działalność oświatową i kolejne 17,5 mln funtów rocznie na poprawę stanu lecznictwa odwykowego narkomanów.

Wielu brytyjskich ekspertów powitało z zadowoleniem decyzję Hurga odrzucającą zalecenie komisji w sprawie kampanii uświadamiającej wymierzonej przeciwko kokainie „crack”. Zdaniem Nicholasa Dorna, kryminalologa w Instytucie Studiów nad uzależnieniem od Narkotyków, tego rodzaju kampania po prostu zwróciłaby większą uwagę na ten narkotyk. Kilka lat temu rząd sponzorował szeroko rozreklamowaną kampanię wymierzoną przeciwko heroinie. Kampania ta przyczyniła się w większym stopniu do rozprzeczania tego narkotyku niż do odstręcenia ludzi od jego zżywania. W roku 1982 Wielka Brytania miała 4788 osób nałogowo zżywiających heroinę, ale już w 1988 roku liczba ta wzrosła do 7770.

Wielka Brytania może zrzucić odpowiedzialność za coraz szerszą popularność narkotyków na zbyt rolę legą kampanii uświadamiającej, ale przedstawiciele władz zachodniemiejskich są zdania, że opisy ukazujące się w środkach masowego przekazu, zwłaszcza o fiar kokainy „crack”, mają wręcz przeciwny skutek w ich kraju. Zdaniem Güntera Speckmanna, eksperta ds. narkotyków z Hamburga, „było wiele ilustrowanych reportaży i te straszne opisy powstrzymały wielu przed tym (narkomanią)”.

I rzeczywiście. W RFN przypadki przestępstw związanych z kokainą są tak nieliczne, że Generalne Biuro Kryminalne w Wiesbaden nie prowadzi nawet odrębnej statystyki tych przestępstw. „Środki masowego przekazu długo rozpisywały się na ten temat i chociaż spodziewaliśmy się, że (kokaina „crack”) pojawi się tutaj, to jednak jeszcze do tego nie doszło” — mówi dr Walter Kindermann z mieszczącej się we Frankfurcie Grupy Kindermann ds. Narkotyków. Zdaniem Kindermanna, „crack” może po prostu nie być czymś atrakcyjnym dla zachodniemiejskiego narkomana. „Tutejsi narkomani mają tendencję do używania środków uśmierzających i otepiających. W rodzaju heroiny” — stwierdza.

Ale nawet mimo takiej sytuacji RFN — podobnie jak wiele innych krajów europejskich — stoi w obliczu destrukcyjnych problemów związanych z narkotykami. W roku 1988 w Niemczech zarejestrowano 674 przypadki śmierci mającej związek z narkotykami. Był to wzrost o ponad 25 proc. w porównaniu z rokiem 1987. W ub. roku liczba przypadków użycia po raz pierwszy silnych narkotyków wzrosła o 56 proc., a przestępczość mająca związek z narkotykami o 13,5 proc.

Jeśli chodzi o sytuację w innych krajach europejskich, to we Francji jest obecnie ponad 100 tys. osób uzależnionych, wstrzykujących narkotyki dożylnie. Otwarty niedawno w Paryżu ośrodek leczenia narkomanów rozprowadza m.in. igły jednorazowe-

go użytku, ale działalność ta nie spotkała się ze zbyt wielkim odzewem, co podsycho obawy przed potencjalnym rozszerzeniem się śmiertelności wirusa AIDS.

Władze włoskie oceniają, że w ich kraju żyje ponad 200 tys. osób uzależnionych od heroiny i prawdopodobnie drugie tyle osób regularnie zżywiających kokainę. W roku 1988 skonfiskowano we Włoszech 612 kg kokainy, co było swolwym rekordem pobitym jedynie przez Hiszpanię. Ten ostatni kraj jest często wykorzystywany jako swoista „brama wjazdowa” narkotyków do Europy. Samej tylko kokainy skonfiskowano tam 3442 kg.

Niektórzy Europejczycy nie chcą wierzyć, że amerykańskie problemy związane z zżywaniem kokainy „crack” mogłyby kiedykolwiek wystąpić w ich krajach. W Wielkiej Brytanii dostępność narkotyków może być coraz większa, ale są one wciąż o wiele droższe w Londynie niż na ulicach Nowego Jorku, gdzie pojedyncza „skalka” (porcja) kokainy „crack” może kosztować mniej niż dwa dolary.

„Ludzie, którzy zżywają „crack”, nie uważają, aby różnił się on na tyle od innych narkotyków, by był wart eksperymentowania. To jest nowy produkt, ale bardzo kosztowny” — powiedział Steve Tippell, dyrektor południowolondyńskiego Community Drug Project. Niektórzy zawodowcy z branży narkotyków argumentują nawet, że „crack” nie jest w sposób istotny bardziej niebezpieczny niż inne narkotyki.

Dr Cindy Fazey, specjalistka na Uniwersytecie w Liverpoolu od spraw przestępczości związanej z narkotykami, kwestionuje nawet dowody wskazujące na szybkie uzależnianie się od kokainy „crack”. „Jest to po prostu jedna z form kokainy, a kokaina wywołuje uzależnienie psychologiczne, ale nie fizjologiczne. Kiedy się tego próbuje, chce się więcej, ponieważ chce się uniknąć depresji, która później następuje”. Uważa ona również, że nie wydaje się prawdopodobne, aby wskaźnik przestępczości w Wielkiej Brytanii podniósł się w sposób tak drastyczny jak w Ameryce w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Jej zdaniem, Amerykanie czynią ich problem narkotyczny czymś gorszym niż jest w rzeczywistości. „Jeżeli chcemy mieć problemy w skali amerykańskiej, to powinniśmy zamknąć wszystkie nasze kliniki leczenia narkomanów i rozdać broń ludności” — mówi Fazey.

Zastanawiając się zarówno nad angielskim działaniem prewencyjnym i programami oświatowymi, jak i nad niemieckim ostrożnym korzystaniem ze środków masowego przekazu, kraje europejskie pilnie poszukują sposobów, aby utrzymać epidemię „crack” pod kontrolą.

Niektórzy eksperci ds. narkotyków wyrażają obawy, że niedoświadczone władze angielskie nie mają jasnego wyobrażenia, jak postępować dalej w wojnie z kokainą „crack” oraz że ich ataki przyczynią się jedynie do zepchnięcia osób uzależnionych do podziemia i tym samym poza zasięg działania władz. Jak dotychczas realizowane plany wydają się być skuteczne, jednakże nie jest łatwo uspokoić obawy.

„Przez drugi czas pokrotnie mówiło się, że musimy przygotować się na nadejście fiar kokainy „crack”, która miała nas zalać” — mówi Eva Brand z mieszczącej się w Stuttgarcie ośrodka poradnictwa dla młodzieży uzależnionej od narkotyków — do tego nie doszło, ale wciąż nie ma powodów do odwoływania alarmu. Może to być tylko kwestia czasu”. A właśnie czas jest tym luksusem, którego rządy prowadzące walkę z narkomanią, nie posiadają.

ZSRR

Czytelnikom przyzwycajonym do kiepskich warunków pracy dyktuję tę oto informację, zaczerpniętą z „Moskowskich Nowosti” (nr 44/89).

„Komisariat mieści się w autobusie: siedzą w nim dyżurni, trzy krzesła zajmują zatrzymani, nie ma żadnej techniki ani wygod” — pisze Dmitrij Sienin. W tym autobusie pracuje 75 komisariat moskiewskiej milicji, którego siedzibę zamknęła inspekcja sanitarno-epidemiologiczna. W ustawionym w pobliżu opieczetowanego budynku komisariatu autobusu odgrodzono miejsce dla dyżurnego oraz dla zatrzymanych.

— Aby móc pracować normalnie, komisariat powinien zajmować około półtora tysiąca m² — mówi zastępca komendanta Wasilij Siemionow. — W autobusie mamy trzydzieści metrów.

Zatrzymani siedzą w jego oddzielonej części o okratowanych oknach.

— Trzymać ludzi w takich warunkach właściwie nie można — informuje Siemionow. — Przed kilkoma dniami przyprowadziliśmy tutaj trzech wyrostków, którzy oparłszy się nogami o ścianę rozbili autobus. Jeśli zatrzymanych jest więcej, rozwozimy ich do innych komisariatów. Nie zawsze jednak nadążamy, dlatego też często przesiadują oni na ławce przed zamkniętym budynkiem jednostki pod strażą czterech milicjantów.

Autobus nie jest ogrzewany, nie ma w nim umywalki ani toalety. W pobliskich mieszkaniach ludzie przywykli więc do przy-

WĘGRY

Zastępca szefa komendy stołecznej milicji dr Laszlo Pella wiele lat przepracował w Budapeszcie, najpierw jako szef komisariatu w Angyalföld, później w XIII dzielnicy. Ma więc bogate doświadczenie.

Liczba mundurowych funkcjonariuszy w Budapeszcie zbliżona jest do stanu zatrudnienia średniego przedsiębiorstwa. Nie jest ich zatem wielu, tyle że skupiają na sobie uwagę, jak światło reflektora. W 1939 roku, kiedy Budapeszt liczył milion mieszkańców, mundurowych policjantów było o dwa tysiące więcej niż obecnie.

W ostatnich latach fluktuacja kadr w stolicy sięga 25 proc., a mimo to, w 1985 roku komenda stołeczna po raz pierwszy zdecydowała nie zwiększać stanu zatrudnienia. Połowa funkcjonariuszy nie przekracza trzydziestego roku życia, jednakże ci młodzi ludzie, po 2—3 latach od podjęcia służby, masowo zabiegają o przeniesienie w teren, przeważnie w pobliże swoich poprzednich miejsc zamieszkania. Trud-

BEZDOMNA MILICJA

musowych wizyt milicjantów i zatrzymanych.

Komisariat obsługuje rejon zamieszkały przez 150 tys. osób. Przed kilkoma miesiącami władze administracyjne dzielnicy zdecydowały przenieść funkcjonariuszy z autobusu do budynku zarządu dzielnicowego oświaty, gdzie można wygospodarować 750 m². Decyzja zapadła, ale zarząd oświaty nie przyjął jej wcale z entuzjazmem. Dlatego też moskiewski komisariat wciąż urzęduje w autobusie...

Warunki pracy milicji radzieckiej są bardzo trudne. Podany

przykład jest wprawdzie odosobniony, ale... Brakuje nie tylko funkcjonalnych pomieszczeń, lecz również — i przede wszystkim — nowoczesnego sprzętu łączności i transportu. Na ulicach rzadkie miast często jeszcze spotkać można anachroniczny już dzisiaj milicyjny motocykl z bocznym wózkiem, czy zajęzione do granic moskiewskie i wołgi. W sytuacji wzrastającej gwałtownie przestępczości utrudnia to działanie.

O technicznym zacofaniu mili-



cji ZSRR pisze również zachodnia prasa zastanawiając się, czy radzieckie organy porządku publicznego będą w stanie podjąć

zwiększonym obowiązkom. Zamiast zdjęcia z francuskiego „Paris Match”.

MAT

W STOŁECZNYM GARNIZONIE

no im przystosować się do życia w wielkim mieście.

Zdaniem zastępcy szefa, w czasach powszechnej nerwowości i napięcia, również milicjant nie może być uosobieniem spokoju, bo na niego jeszcze bardziej oddziałują obecne konflikty.

— Obiegowa opinia głosi, że obywatel zdany jest na łaskę milicjanta, który stosuje środek przymusu w zależności od swego nastroju.

— To wykluczone. Stosowanie środków przymusu nie odbywa się na zasadach prawa pięści, choć jest przymusem zatrzymanie czy zakucie w kajdanki. Sporadyczne są przypadki, kiedy funkcjonariusz przekracza swoje uprawnienia.

— Czy milicjant wie, jaki jest obywatel? Czy rozumie, że popełnia błąd, gdy od razu zakłada jego winę?

— Na jednego dzielnicowego przypada średnio 7—8 tysięcy ludzi, oczywiście jest, że nie może ich znać. Optymalna sytuacja byłaby, gdyby miał on w rejonie

3 tysiące obywateli. Pod tym względem znacznie lepiej jest na prowincji, gdzie wszyscy się znają, a zwrot „nasz milicjant” w niejednej gminie nie jest fraze-sem.

Mówi ppłk dr Sándor Pongor, naczelnik wydziału ds. bezpieczeństwa publicznego komendy stołecznej w Budapeszcie:

— Przed kilkoma tygodniami zaprosiliśmy na naradę milicjantów, którzy mieli już jakiś konflikt z prawem w charakterze sprawcy bądź ofiary. Mówili rzeczy straszne. Okazało się między innymi, że jesteśmy najtańszą policją w Europie, szef zarabia zaledwie 40—50 forintów na godzinę. Za wszystko, czego się od nas wymaga! Jak może być tolerancyjny w stosunku do obywatela milicjant, któremu kiedyś bezkarnie zrzucano czapkę, oberwano rękaw, którego opluto bądź obrażono? W naradzie wzięło udział 150 osób i większość z nich stwierdziła, że z przyczyn politycznych milicja wydana została prasie na pożarcie, a spo-

łeczne lumpy drwią sobie z jej beśpільności.

Tłumaczyliśmy im, że nie wolno podnosić rękawicy, ale jeszcze gorzej jest się dać zastraszyć.

Przyjrzyjmy się teraz liczbom. W 1988 roku wykroczenia „znieważenie czynne na służbie” dopuściło się 24 budapeszteńskich milicjantów. Ale ze stawianiem oporu osobie urzędowej mieli oni do czynienia w 99 przypadkach. W 6600 przypadkach użycie środków przymusu wymagało podjęcia przez przełożonych postępowania wyjaśniającego, w tym 754 — obligatoryjnego. Tylko pięć przypadków okazało się bezprawnych! Pałki milicyjnej użyto 333 razy i, jak wykazało postępowanie, nieuzasadnione były tylko cztery przypadki.

Dużo to czy mało? Zdaniem redakcji magazynu „Reform” także powyższe liczby są nie do przyjęcia dla kogoś, kto choć raz został pobity przez nadużywającego swojej władzy milicjanta. Haniebne jest jednak, kiedy młodziutki milicjant, który dopiero co opuścił szkolną ławę, otoczony zostaje przez zgraję usiłującą poniżyć go fizycznie albo moralnie.

na podst. magazynu „Reform”
oprac. ELŻBIETA WRÓBEL



CO DALEJ Z MILICJĄ?

ciąg dalszy ze s. 5

zys daje się odczuć we wszystkich ogniwach. Ponadto nabór do naszych organów odbywa się na zasadzie selekcji negatywnej. Najbardziej to widać na przykładzie pozyskiwania do oddziałów prewencji.

Skandaliczny jest stan technicznego wyposażenia. A przecież nie kto inny a właśnie milicja powinna mieć sprawną łączność.

Dlaczego nie zastępujemy przestarzałych urządzeń nowoczesnymi rozwiązaniami? Słyszałem o wprowadzeniu komputerów, wprawdzie powinienem się z tego cieszyć, ale nie mogę oprzeć się sugestii, dlaczego nie opracowany został system elektronicznego przetwarzania danych na nasze potrzeby? Dlaczego kolejny problem traktujemy wybiórczo? Chciałbym poznać opinię fachowców na ten temat.

Redakcja: — Otrzymujemy wiele listów protestujących przeciwko formie, w jakiej została rozwiązana organizacja ORM. Czy kierownictwo Komendy Głównej MO zechce zająć w tej sprawie jakieś stanowisko? I sprawa druga, nasi Czytelnicy pytają, czy prawdą jest, że jakaś tajemnicza grupa osób odbywa specjalne szkolenie na Zachodzie, by niebawem objąć kierownicze stanowiska w resorcie?

Gen. dyw. dr Zenon Trzeciński: — O pierwszej sprawie powiem za chwilę i nieco szerzej. Na drugą odpowiedź natychmiast, gdyż pytano mnie już o to. Kierownictwo resortu spraw wewnętrznych nie wysłało żadnych cywilów czy funkcjonariuszy na przeszkolenie policyjne. Nie wiem również o tym, by ktokolwiek inny podjął takie decyzje.

Por. Grzegorz Szpilski — Wydział Dochodzeniowo-Sledczy WUSW w Radomiu: — Mówimy wiele o przyznawanych MO etatach, ale zapominamy, że wakaty istnieją tylko w jednej kategorii stanowisk. Nie ma ich w kierownictwie, za to są wśród milicjantów służb kryminalnych. Ci na dole po prostu są całkowicie niedoinwestowani, zapomniani, i wciąż wystawiani na pierwszą linię.

A w kierownictwie od lat przyjęła się zasada, że jeśli ktoś tam awansuje, już nie spadnie poniżej zajmowanego biurka, nawet choćby nie wiem jak okazał się nieudolny. Przeniesienie można go na stanowisko równorzędne albo wyższe. Jest to zjawisko w całej rozciągłości tolerowane przez centralę. Najlepszy przykład stanowi nasz były zastępca szefa WUSW w Radomiu. Kierownictwo resortu otrzymywało wielokrotnie sygnały o dziejących się nieprawidłowościach. Nie zrobiło nic. Dopiero kiedy sprawa przedostała się do lokalnej prasy, człowiek, który powinien odpowiadać przed sądem, został skierowany na emeryturę.

Kpt. Lech Siwek — zastępca komendanta II Komisariatu MO w Gdańsku-Sródmieściu: — Nie zapominajmy o tym, że przeciętnego obywatela nie interesują przedstawiane tu bolączki. On chce czuć się bezpiecznie, nie martwić o swoje mienie i zdrowie, kiedy wychodzi do pracy czy wieczorem na spacer. A my nie mamy żadnych możliwości, aby mu to zagwarantować.

W naszym komisariacie codziennie ustawa się kolejka większa niż w jakimkolwiek sklepie osób napaśniętych, pobitych i okradzionych, osób, którym w jednej chwili zrabowano dorobek całego życia. My nie nadążamy już z rejestracją przestępstw. Do 8 grudnia było ich 3630. O jakiegokolwiek pracy wykrywczej nie ma mowy. I to u nas stanowi główne źródło zwolnień z pracy. Milicjanci są załamani psychicznie swoją bezsilnością.

Nasz komisariat ma rocznie więcej spraw niż RUSW w Tczewie i Starogardzie razem wzięte. Ponadto tam nie ma ani jednego

wakatu, u nas ich liczba rośnie z dnia na dzień. Czy ktoś pomyślał, jak ten proces zatrzymać? Jakie środki podejmuje kierownictwo resortu, żeby zwiększyć nabór do milicji?

Kpt. Kazimierz Zega, zastępca szefa ds. MO RUSW w Makowie: — Z liczb, jakie przedstawił nam pan generał, wynika, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale gdy tylko zejdziesz się niżej poza WUSW, okazuje się, jak jest naprawdę. Im niżej, tym więcej wakatów.

Aby uzyskać akceptację społeczeństwa, założenia naszej przyszłej działalności powinny być wypracowane w szerszym gronie, a nie tylko pomiędzy policjantami. Społeczeństwo powinno określić, jaka ma być policja. Czy prewencyjno-sledcza, czy kryminalna, a może przede wszystkim prewencyjna.

Zamysłem tego spotkania miała być dyskusja o przyszłości milicji czy policji. W tym celu należałoby zorganizować co najmniej kilka spotkań dotyczących dyskusji



Podczas spotkania funkcjonariuszy z komendantem głównym MO, nastąpiło uroczyste wręczenie „Złotego pióra”, które kolegium redakcyjne „Wsn” przyznało najlepszemu korespondentowi.
Z rąk redaktora naczelnego płk. Romualda Labanowa „Złote pióro” oraz nagrodę pieniężną otrzymał dzielnik korpusu korespondentów „W służbie narodu”, ppłk Jan Zaforski z WUSW w Rzeszowie. Gratulujemy.

zdj. K. Mokrzyński

bardziej specjalistycznych, np. jak powinny w przyszłości wyglądać obowiązki dzielnicowego, jak stworzyć policję kryminalną, jak oddzielić policjantów od urzędników policyjnych, jak zreformować policyjne szkolnictwo? O tych sprawach powinniśmy dyskutować my, policjanci, a założenia resortowe uzgadniać z przedstawicielami całego społeczeństwa.

Gen. dyw. dr Zenon Trzeciński: — Zano-towałem kilka pytań i problemów, które powtarzały się w wypowiedziach uczestników dyskusji. Zaczęć może od sprawy rozwiązania ORM. Z ramienia ministra spraw wewnętrznych współpracowałem z komendantem i kierownictwem tej organizacji. Uznałem więc za swą powinność podziękować ormowcom, w specjalnie skierowanym do nich liście, za ich społeczną postawę i pomoc w przeciwstawianiu się przestępczości.

Myślę, że słów szacunku wyrażanych ludziom, podziękowań, nigdy nie jest za dużo. Nie rozpieszemy się w naszym spo-

czeństwie uprzejmościami. Miło więc, że odezwały się głosy domagające się słów uznania dla tych, którzy na nie zasłużyli.

Do służby prewencyjnej jest nas teraz trochę mniej. Postawione więc tu pytanie, czy do MO mogliby przychodzić młodzi ludzie przed odbyciem zasadniczej służby wojskowej wydaje się zasadne. Do tego potrzebne są jednak nowe uformowania ustawowe. Trzeba więc zastanowić się, czy nie podjąć zmian w duchu tego pytania.

Jeśli chodzi o wyposażenie, tankowanie samochodów, naprawy — to powiem jedynie, że służby logistyczne nie podlegają komendantowi głównemu MO. Problem jednak jest mi znany i podejmuję go przy każdej okazji.

Szkolnictwo resortowe? Nieprawdą jest, że nie ma u nas specjalistycznego szkolnictwa. W Piasecznie szkolimy funkcjonariuszy ruchu drogowego, w Pile referentów operacyjnych, w Łodzi — techników kryminalistyki, w Sułkowie — przewodników psów służbowych itd., itd. Na dzień dzisiejszy jest to wystarczające przygotowanie do milicyjnej służby. Jeśli w przyszłości zajdzie taka potrzeba, uruchomimy inny profil zawodowego szkolnictwa.

Co robimy, żeby nabór do milicji był większy? Robimy wszystko i wszyscy. Nie tylko funkcjonariusze kadr, nie tylko kierownictwo KG MO, jednostek wojewódzkich, rejonowych, miejskich, lecz także pracują nad tym sami milicjanci. Staramy się, żeby pobory milicjantów systematycznie dostosowywane były do średnich wynagrodzeń w przemyśle. Złagodziłbym nieco, choć nie jest to sposób najlepszy, kryteria przyjęć. Z informacją o warunkach przyjmowania do MO docieramy do jednostek wojskowych, szkół średnich, zawodowych.

Prawda jednak jest taka, że od tego, jak społeczeństwo oceniać będzie milicjantów, jakim darzyć ich szacunkiem, zależy w dużym stopniu napływ nowych kadr. A na szacunek, niestety, każdy sam musi sobie zapracować. Dopiero suma ocen postaw poszczególnych milicjantów składa się na ocenę zbiorowości.

Mówiliśmy na tym spotkaniu dużo o tym, co nam przeszkadza, co utrudnia służbę. Znacznie mniej natomiast o tym, co w podstawach samych milicjantów jest niewłaściwe. A to też jest problem wart szerokiej dyskusji.

Omawiane tu sprawy nie były dla mnie nowe. Spotykam się bowiem z funkcjonariuszami jednostek terenowych często. Znam wszystkie niedomogi i bolączki MO. Rozumiem rozterki i zniecierpliwienie funkcjonariuszy. Wasze szorstkie czasami uwagi przyjąłem z aprobatą, bo świadczą one o zawodowej ambicji, o sile i chęci do pracy. A tylko z takimi ludźmi można robić reorganizację, porządkować i naprawiać to, co wymaga naprawy.

Nie można jednak okazywać zniecierpliwienia, pospiesznie burzyć stare struktury, bo rytm społecznego życia nie da się, choćby na trochę, zatrzymać. Nasza reorganizacja musi następować w marszu.

Aktualny stan przestępczości w Polsce wymaga od milicjantów dobrze zorganizowanej, skutecznej i praworządnej działalności w celu ograniczenia przestępczości kryminalnej i poprawienia wykrywalności przestępstw. I musimy to robić każdego dnia, niezależnie od tego, czy nazywać się będziemy jeszcze milicją czy już policją.

Redakcja: — Deklarujemy chęć uczestniczenia i przedstawiania wszystkich tego typu dyskusji. Nasze lamy otwarte są zawsze dla problematyki zawodowej i związkowej również. Dla wszystkich spraw funkcjonariuszy resortu.

Dyskusji przysłuchiwali się redaktorzy „Magazynu Kryminalnego 997”. Wypowiedzi uczestników notowali:

ELŻBIETA CIERLICA
JERZY KIRZYŃSKI
TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

Tekst nie autoryzowany



MIESZKANIA PRZESĄDZĄ O PORZĄDKU?

Płk w st. spoczynku Stanisław Górnicki, zwany „legendą służby kryminalnej”, przebywający od 13 lat na emeryturze, udzielił przedstawicielowi naszego pisma odpowiedzi na kilka pytań.

— Był Pan inspektorem, naczelnikiem, a następnie wieloletnim szefem służby kryminalnej na szczeblu centralnym. Kiedy, według Pana służba ta osiągała najlepsze wyniki i dlaczego?

— Da się wyodrębnić kilka takich okresów. Pierwszy to lata czterdzieste. Co prawda funkcjonariusze nie mieli dostatecznego przygotowania, ale uczyli się z zapalem. Jak w laboratorium naukowym analizowali każdy sukces i każdą porażkę. Wiedzę swą czerpali również od funkcjonariuszy byłej Policji Państwowej, zatrudnionych początkowo w naszym aparacie. Słowem, byliśmy otwarci, korzystaliśmy ze wszystkich dostępnych nam źródeł podnoszenia fachowości. Sprzyjały nam także niektóre lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Zapalał można było wiązać z solidną porcją wiedzy wynoszonej przez absolwentów ze szkół oficerskich MO. Ale i wtedy niezmiernie ważną rolę odgrywało samokształcenie, analiza spraw zrealizowanych i umorzonych z powodu niewykrycia sprawców. Pragnęliśmy zawsze do końca poznawać fakty, które zadecydowały o sukcesach lub niepowodzeniach.

Prowadzonymi sprawami żyło się niekiedy może nawet do przesady. Dlatego zaczęliśmy lansować różne „odtrutki”. Indywidualnie i zbiorowo chodziliśmy do kin i teatrów. Urządzane były dyskusje na temat przeczytanych „ostatnio” książek itd.

— A uogólniając: pracowało się łatwiej czy trudniej niż dziś?

— Nie mogę odpowiedzieć jednoznacznie. Bo np. w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rzadkością były takie przestępstwa, które dziś popełniane są nagminnie. Zabójstw na tle seksualnym, aż do Marchwickiego, notowaliśmy nie więcej niż dwa—trzy w roku. W ub. r. w ciągu zaledwie dziesięciu miesięcy, było już 25. Jeszcze większy skok ilościowy nastąpił w takich kategoriach, jak zabójstwa z chęci zysku, napady, rozboje.

— Lecz wtedy, przy tak małych liczbach zbrodni, nie podawano ich do publicznej wiadomości...

— Tak, i nie bardzo rozumiałem dlaczego. Może chodziło o doktrynę, o to, by i pod tym względem obraz sytuacji był idealny? Przestępczość stawała się bowiem ważkim czynnikiem politycznym, zwłaszcza w referatowych licytacjach na temat wyższości socjalistycznego ustroju.

— Jak określiliby Pan stosunek społeczeństwa do prowadzonej wówczas walki z przestępczością pospolitą?

— Mogliśmy liczyć na wszechstronną i wydatną pomoc. Funkcjonariusze służby kryminalnej MO spotykali się z wyrazami uznania i sympatii. Łatwo nawiązywali kontakty z ludźmi. Dzięki temu uzyskiwaliśmy szybko wiele informacji o nie znanych nam przestępcach. Na tej podstawie tworzyliśmy na ogół prawidłowe wersje kryminalistyczne. Pozwalały one zatrzymywać przestępców zanim zdążyli ochłonąć po dokonanych czynach.

— Pod jakim względem dawni funkcjonariusze mieli gorzej niż ci pracujący dziś?

— Słabiej funkcjonowała kryminalistyka, gorzej był sprzęt, znajdujący się w jej gestii. Jed-

nakże, ponieważ przestępstw było wielokrotnie mniej, mieliśmy więcej czasu na solidne szukanie dowodów.

— Czy zdarzały się w tym okresie manipulacje statystyczne?

— W niewielkim stopniu. Dotyczyły zazwyczaj nie tyle rejestracji, co kwalifikacji tzw. drobnych, jak np. kradzieży o niskich stratach, włamań do strychów i komórek. Mówiłem już wtedy, iż należy określić wagę przestępczych czynów nie w wyrazie finansowym, lecz skalą społecznego zagrożenia. Jest to, w moim przekonaniu, słusne i sprawiedliwe. Weźmy dla przykładu kradzieże kieszonkowe. Przyłapani sprawca raz stawał przed sądem, innym razem — przed kolegium ds. wykroczeń. Wszystko zależało od wartości skradzionych przedmiotów lub kwoty pieniędzy. A przecież sięgając po czyjś portfel, kieszonkowiec zawsze liczy na duży zysk. Należałoby więc każdy przypadek traktować jako kradzież zuchwałą, prowadzącą na lawę oskarżonych.

— Co, zdaniem Pana Pułkownika, najbardziej godzi obecnie w skuteczność pracy funkcjonariuszy MO?

— Tworzenie złej atmosfery wokół organów, niewybredne ataki na resort, obojętność społeczeństwa, powściągliwość prokuratorów i sędziów. Funkcjonariusze MO są w walce z przestępczością całkowicie osamotnieni. W tym przekonaniu, jak sądzę i słyszę, utwierdza ich także cały zespół trudnień związanych z codzienną służbą.

— Był Pan, przez pewien czas, komendantem stołecznym MO. Z dokumentów wynika, że panovali wtedy w Warszawie porządek, a wykrywalność przestępstw sięgnęła szczytu. Co, Pana zdaniem, składało się na te sukcesy?

— W pierwszym rzędzie „stołeczność” założeń większości jednostek i ogniw. Mam tu na myśli pochodzenie funkcjonariuszy. Byli, w łwiej części, warszawiakami. To przesądzało o wielu sprawach: mieli doskonałą znajomość różnych środowisk, w tym także przestępczych, potrafili znaleźć z ludźmi wspólny język, trafić do ich uczuć i świadomości, pozyskać sojuszników. Dzielnicowemu — warszawiakowi — kłaniali się nie tylko dozorczy, szatniarze, dorożkarze i taksówkarze, lecz również złodzieje, prostytutki, oszuści i sutenerzy. On zaś o każdym miał dostateczne kompendium interesującej go wiedzy. To samo mogłbym powiedzieć o pracownikach operacyjnych.

Smiem twierdzić, że funkcjonariusze „obcy”, sprowadzeni do Warszawy z innych miast i miasteczek kraju poza nielicznymi wyjątkami, pomimo chęci i zapалу, nie osiągną tu większych sukcesów. Warszawa ma niepowtarzalną specyfikę. I źle się dzieje, że nie ma dla milicjantów niezbędnej liczby mieszkań, przejściowo nawet typu hotelowego. Przyszłość zmusi władze miasta do takich „ofiarności” w zamian za spokój i porządek publiczny, za skuteczną walkę z pospolitą przestępczością, która w Warszawie dziś wprost przeraża swymi rozmiarami. W dodatku — z dominacją przestępstw najcięższych.

— Dziękuję za rozmowę.

EDWARD NOWAK
zdj. K. Mokrzyński

GRUNT TO RODZINKA

ciąg dalszy ze s. 7

jąc milicjantom wszelkimi możliwymi obelgami. Wśród nich Kuś poznał kobietę, która niedawno ugryzła go w palec. Ona też go zobaczyła i agresja grupy skierowała się przeciw niemu i jego żonie. Obydwójce schronili się w pokoju dyżurnego, który nie wpuszczał tam awanturującej się w poczekalni gromady.

— To była cała rodzina C. — mówi mł. chor. Marian Słachta — matka, dwóch braci, żona jednego z nich i konkubent matki będący jednocześnie ojcem Jacka M., drugiego zatrzymanego. Rzucili się na nas z pięściami, potem próbowali zaatakować Kusia, jako głównego sprawcę zatrzymania ich krewnych. Stanęliśmy wraz z mł. chor. Romanem Kubowem w drzwiach i nie wpuszczaliśmy ich z poczekalni na dyżurkę. Nie mogłem nawet zadzwonić po pomoc, bo strach było na moment spuścić ich z oka.

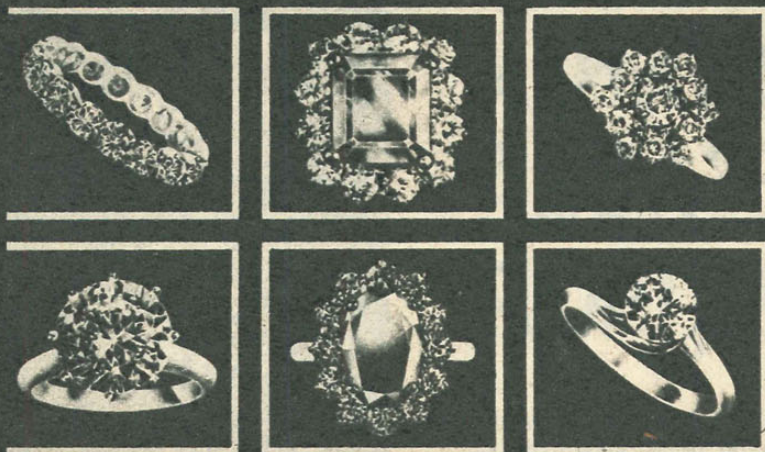
Tamci widzieli swoją przewagę i znakomicie ją wykorzystali. Jedni atakowali stojących w drzwiach milicjantów, drudzy rozebrali z kaftanów bezpieczeństwa swoich. W tym momencie „układ sił” na dyżurce wyglądał następująco: siedmioro C. kontra dwóm milicjantom (zamkniętego na dyżurce Kusia i jego małżonkę właścicielki trudno liczyć). W pewnej chwili matka rodu, najbardziej zresztą agresywna, przeszliźnięła się pod ręką mł. chor. Słachty, wpadła na dyżurkę i nim ją odciągnięto, walnęła pięścią w twarz st. kpr. Kusia powodując ponowny krwotok z nosa. Komisarjat był właściwie we władaniu rodziny C.

— Nie mieliśmy z nimi żadnych szans — mówi dyżurny. — Mogliśmy tylko stać w drzwiach, bronić im wstępu na dyżurkę i wzywać do opamiętania się. W odpowiedzi padał stek wyzwisk, przekleństw i pogroźek. „Od jutra nie będziecie tu pracować”, „Nogi ci taki synu poobtracam”, „Jak was „Solidarność” rozbroi, to my będziemy pierwsi, żeby was powywieścić” itp., itp.

— Ludzie, co wy robicie, przecież to jest normalny napad na komisariat! — krzyknął nagle st. kpr. Kuś i o dziwo, jakby się opamiętał. Agresja została przyhamowana, zwłaszcza że „odbili” już swoich, więc pokrzykując jeszcze i odgrzając wycofali się na ganek.

Tak właśnie na ganku, narażających się i pokrzykujących zastał ich komendant komisariatu mjr Jerzy Horeczy wezwany telefonicznie przez dyżurnego, a w chwilę później nadjechał wezwany z RUSW w Ny-

ciąg dalszy na s. 15



Austriacki kolekcjoner diamentów ochronę drogocennych kamieni powierza na czas swojej nieobecności dwóm jadowitym węzom, właściciele willi na przedmieściach Wiednia w obawie przed włamywaczami trzymają w ogrodach jaguary i gepardy. Nie brakuje i takich, którzy opiekę nad oszczędnościami powierzyli aligatorom. Widać przynosi to efekty, skoro miejscowa policja kryminalna zwróciła się z apelem do właścicieli owych niezawodnych stróżów o umieszczenie na bramach tabliczek informujących o niebezpieczeństwie, na jakie narazić się mogą ewentualni włamywacze.

W Krakowie również ciężkie, a tym samym niebezpieczne, czasy nastały dla amatorów cudzej własności. Tu jednak na straży państwowych i prywatnych dóbr stoi elektroniczny wartownik.



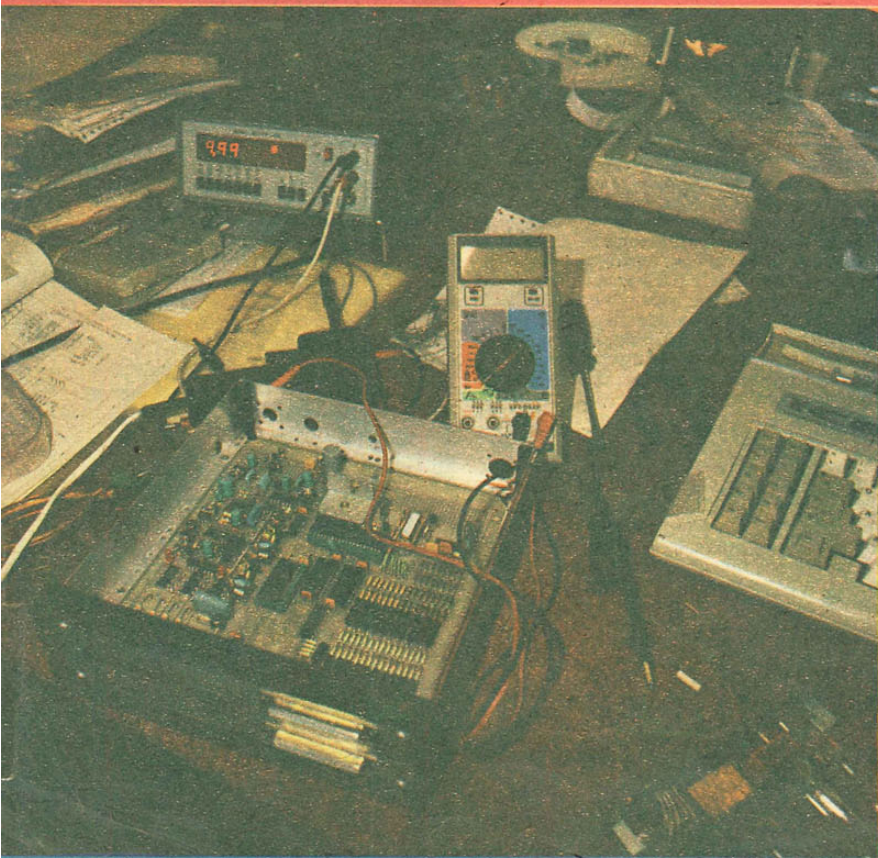
Urządzenie zbudowane jest praktycznie z dwóch elementów: części bazowej i terminala alarmowego. Pierwszą z nich tworzą: mikrokomputer ośmiobitowy, monitory, drukarka zapisująca tekst pojawiający się na ekranie. Terminal — to niewielkich rozmiarów skrzyneczka, którą montuje się w chronionym obiekcie. Odpowiedni czujnik przekazuje informację o rodzaju zagrożenia (przy wykorzystaniu łącz telefonicznych) dyżurnemu jednostki MO. Straży Pożarnej lub innych specjalistycznych służb. Wykorzystanie istniejącej sieci telekomunikacyjnej obniża koszt instalowania

zliwość zainstalowania w 16 tysiącach obiektów). Działa ono, jak już powiedzieliśmy dyskretnie i błyskawicznie. Ani przez chwilę nie zmruga oka, nie upije się, a w razie zagrożenia nie baczając na własne bezpieczeństwo informuje dyspozytora.

Jak to wygląda w praktyce? Otóż, kiedy tylko naruszona zostanie przez przestępcę, a także wodę czy pożar, przestrzeń chronionego pomieszczenia, czujniki identyfikują rodzaj zagrożenia i wskazują jego miejsce. Wówczas też na monitorze mikrokomputera zainstalowanego w budynku urzędu spraw wewnętrznych wyświetlona zostaje informacja o: rodzaju alarmu, nazwie obiektu, sektorze, w którym nastąpiło przerwanie sieci, trasie dojazdu itp. Wysłana przez dyżurnego MO załoga radiowozu bez trudu, na gorącym uczynku, zatrzymuje złodziei. Włamywacze, jak można przypuszczać, patrzą na milicjantów, jak na przybyszów z Marsa. Sygnał nadchodzi także, gdy w pomieszczeniu pojawi się dym, zwiększy wilgotność, włączone zostanie w ciemni światło czy podniesie się temperatura w chłodni.

Właśnie w taki sposób z wolnością rozstało się w 1988 roku 32 włamywacze, w ub.r. było ich już o 10 więcej. Wpadł kieszonkowiec, któremu wydawało się, że w niewidoczny dla nikogo sposób wyjmował torebki z siatek Klientek. Dostrzegła go jedna z kasjerek i zamiast wszczynać alarm, nacisnęła od-

ELEKTRONICZNY DOZÓR



urządzenia, a tym samym uwzględniła możliwość powszechnego stosowania.

Nie bez wpływu na ocenę systemu dyskretnego alarmowania jest jego niezawodność i uniwersalność (można wykorzystywać przy przesyłaniu sygnałów łączność radiową), zminiaturyzowany kształt oraz cena (do budowy wykorzystuje się wyłącznie krajowe podzespoły elektroniczne).

Elektroniczny wartownik skonstruowany został połączonymi siłami dr. Ryszarda Dulskiego (Akademia Górniczo-Hutnicza) i inspektorów Wydziału Łączności WUSW w Krakowie kpt. inż. Bogusława Głogowskiego i kpt. inż. Bogdana Gołikowskiego. Urządzenie to nazwano od pierwszych liter nazwisk jego twórców DGG-16 (cyfra oznacza mo-

powiedni przycisk i chwilę później funkcjonariusze byli na miejscu. W tych samych okolicznościach zatrzymano oszusta, fałszerza dowodu osobistego. Innym znowu razem czujnik pobudzony został przez pijanego kierownika sklepu, jeszcze kiedy indziej przez dwóch mężczyzn usiłujących dostać się nocą do sklepu przy ul. Pstrowskiego. Piłujący kratę na widok zbliżającego się do nich strażnika powiedzieli, że przysłani zostali tu do naprawy zabezpieczenia przed włamywaczami i spokojnie pracowali dalej. Kiedy uporali się z szybą, zareagował odpowiedni czujnik i jakby spod ziemi wyrósł radiowóz. Milicjanci nie dali się zwieść opowiedzianej jeszcze raz bajeczce...

Zenon U. wiedząc o zainstalowanym urządzeniu postanowił sprawdzić jego niezawodność działania jak też reakcję milicji krakowskiej, wybił więc szyby wystawowe w sklepach „Pewex” i z ukrycia obserwował poczynania stróżów porządku. Wpadł za trzecim razem. Noga powinna się też dwóm niedaw-

nym podopiecznym zakładu karnego, którzy w kilka godzin po wyjściu na wolność ujęci zostali wewnątrz sklepu „Jubiler” przy ul. Kazimierza Wielkiego.

Podobnych przykładów można by przytoczyć więcej, wspomnieć jednak należy o alarmie wszczętym przez nie zamknięte na noc drzwi pawilonu handlowego, którymi poruszał wiatr.

— Bardzo chętnie skorzystaliśmy z oferty i zainstalowaliśmy urządzenie DGG w podległych nam placówkach handlowo-biurowych — oznajmił dyrektor krakowskiego oddziału „Pewex” Augustyn Pohl. — Jesteśmy zadowoleni z jego działania. Zresztą nie może być innej oceny, skoro np. przed miesiącem włamywaczy nie upilnowali strażnicy, za to system sprostał zadaniu. Inna rzecz, spotykaliśmy się z rezerwą wielu załóg wobec podłączania naszych obiektów do systemu dyskretnego alarmowania. Okazało się, że na przeszkodzie stoi niechęć do nowinek technicznych, jak i to, że... włamania niektórym pracownikom były na rękę. Cóż, inaczej należy interpretować fakt, iż kiedy sprawca po wypiciu szuby zabrał towar znajdujący się na wystawie, to remanent wykazał, że należałoby po niego przyjechać samochodem — dostawczym... System DGG-16 dyscyplinuje pracowników.

— Dyscyplinuje również funkcjonariuszy MO — dodał nacelnik Wydziału Łączności WUSW

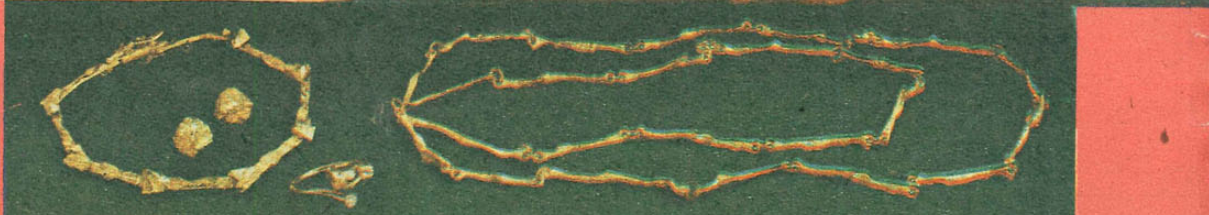
iz „nie ma rzeczy większymi najeżonej trudnościami, mniej rokującej powodzenia, niebezpieczniejszej w wykonaniu, niż zamiar wprowadzenia nowych urządzeń”. I to wypisz-wymaluj odnosi się do dzieła trójki krakowskich specjalistów. Faktem jest, że system zwany przecież dyskretnym alarmowaniem, wymusza przemyślaną dylokację służb patrolowych, jak i należyte jej pełnienie.

Trzyletnia obserwacja pozwala sądzić, iż w racjonalnym wykorzystaniu urządzenia tkwią znaczne jeszcze rezerwy, w zwiększeniu skuteczności zapobiegania i zwalczania przestępstw przeciwko mieniu. Równocześnie płynie z niej wniosek, że najważniejszym, a jak wykazuje praktyka, jednocześnie najsłabszym ogniwem systemu alarmowania są źle wyposażone, z brakami kadrowymi, siły interwencyjne MO. DGG wymusza natychmiastową reakcję dyżurnego, załogi radiowozu na zdarzenie, inaczej przestaje być dyskretny.

— Do tej pory zainteresowanie naszym wynalazkiem wykazali szefowie WUSW w Toruniu i Poznaniu, wycofaliśmy się z instalacji urządzenia w Katowicach — powiedział ppłk inż. J. Kantek. — Nie zrażamy się niepowodzeniami. Obecnie pracujemy nad systemem, który sprawdzić się może także w małych



ORCA



w Krakowie ppłk inż. Julian Kantek. — Choć stale powtarzam, iż lepiej zapobiegać przestępstwom, aniżeli za nie karać, to wciąż działamy po omacku. Przecież wiadomo, nie tak skutecznie nie powstrzymuje potencjalnych włamywaczy przed naruszeniem prawa, jak przesłuchanie o nieuchronności kary. I nasze urządzenie temu służy.

Wydawać by się mogło, że wykonawca DGG — przedsiębiorstwo produkcji i eksploatacji elektronicznych systemów zabezpieczania „Dyskam” — nie nadaje z realizacją zamówień w sytuacji wzrostu liczby włamań do mieszkań i obiektów społecznych, spółek i instytucji. Nic podobnego, po prostu nie ma zbyt wielu chętnych do zainstalowania u siebie sprawdzonego w praktyce systemu.

Płk inż. J. Kantek przy różnych sposobnościach udowadnia korzyści płynące z owego wynalazku, jednak wciąż spotyka się jeśli nie z protestem, to jednak obojętnością ze strony handlu, dyrekcji zakładów, a także funkcjonariuszy milicji. Wprawdzie już Machiavelli powiedział,

miastach, w siedzibach rejonowych urzędów. Cena zachęająca, zaledwie pięć milionów złotych.

Zmagania ppłk. inż. J. Kantka z nieprzychylnymi mu ludźmi sprawiają, iż ten kipiący energią człowiek, mający w zanadrzu następne pomysły (m.in. zainstalowanie pułapek kryminalistycznych, czujników w samochodach, dzięki którym łatwo byłoby ustalić sprawcę kradzieży, jak i zidentyfikować skradziony pojazd) odczuwa coraz większe zmęczenie. Częściej niż dawniej wspomina o emeryturze. Wciąż ma rozdwojoną duszę; walczyć do końca czy ustąpić? Wzorem XIX-wiecznego twórcy maszyny liczącej warszawskiego mechanika Sterna rozczarowanego niepowodzeniami w upowszechnianiu swego wynalazku wyraża życzenie, aby to co jemu się nie powiodło, udało się „szczęśliwemu jakiemuś geniuszowi”, wierząc, iż zrobił to, co mógł, a ci, którzy mogą, niechaj robią lepiej...

JERZY KIRZYŃSKI

zdj. Krzysztof Mokrzyński





To nie jest efektywna robota, bez ostrego koloryzowania nie da się jej przedstawić tak, by odbiorcy zapierało dech z wrażenia. I chociaż oglądane w zachodnich serialach popisy policjantów-wyczynowców nijak się nie mają do naszej szaro-zgrzebnej rzeczywistości milicyjnej, to przecież ta służba w porównaniu z innymi jest wyjątkowo statyczna.

Ot, po prostu: za pulpitem siedzi człowiek w mundurze, raz sięga po tę słuchawkę, raz po tamtą, rozmawia, notuje, przekazuje informacje dalej, wreszcie zbiera to wszystko do kupy, segreguje, porządkuje itd.

Nie każda praca może być efektywna, ważne, by miała sens i była potrzebna.

LEKKA ROBOTA?

Jest ranek, 30 listopada 1989 r., skromnie wyposażone, niewielkie pomieszczenie dyżurnego Komendy Głównej MO przy ul. Puławskiej w Warszawie. Por. Mirosław Malczewski o godzinie 9.00 przejął służbę po por. Bogdanie Smolarzu, do godz. 16.00 będzie musiał siedzieć tu kamieniem, jako że występuje w pojedynkę, dopiero w drugiej części dnia wspomógł go kolega.

— Dziś „Andrzejski” — mówi por. Malczewski — to może być przypływ zdarzeń, rozboje na podochoconych alkoholem solenizantach na przykład. Choć czasem trudno dopatrzeć się przyczyn, dla których jakieś dni są wyjątkowo burzliwe, a inne — nawet wbrew założeniom — nie. W Zakopanem wiele tłumaczył sobie wpływem halnego, ale u nas?...

— Na pewno wie pan, że koledzy z innych pionów traktują etat dyżurnego jako odpoczynkową fuchę, wprost wymarzoną dla kogoś na pięć minut przed emeryturą? — pytam.

— Oczywiście, nieraz słyszałem takie komentarze. Ja sam, jak chyba widać, jeszcze o odpoczynku nie myślę — to raz. A po drugie, to — napięta uwaga, duża odpowiedzialność, umiejętność i konieczność szybkiego reagowania składają się między innymi na uciążliwość również i tej funkcji, choć przynajmniej, że „za to” siedzę sobie pod dachem, za kółkiem mi się nie leje, pociągami się po kraju nie snuję i rodzinie zawsze mogę z góry powiedzieć, o której kończę służbę.

Por. M. Malczewski jest w milicji od listopada 1970 roku, po szkole podoficerskiej ukończonej w Pile długie lata pracował na Żoliborzu, zajmując się całym czasem przestępstwami gospodarczymi. Tu jest od 6 lat.

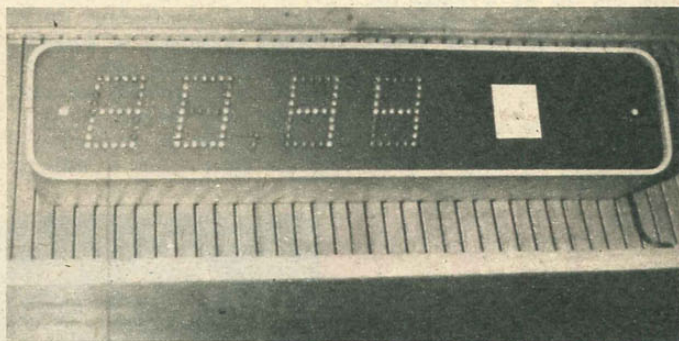
— Nie możemy brać młokosów, debutantów w milicyjnym fachu

— stwierdza ppłk Lechosław Wiczorek, naczelnik Wydziału II Biura Operacyjnego KG MO. — Dyżurny musi być doświadczonym funkcjonariuszem, znać realia jednostki terenowej, umieć samodzielnie podejmować decyzje. Są, co prawda, algorytmy postępowania, ale nie wyczerpują one rzecz jasna wszelkich sytuacji, jakie niesie życie, a ponadto trudno wyobrazić sobie gorączkowe wertowanie „ściągawki” za każdym razem.

— Co należy zatem do obowiązków dyżurnego KG MO?

— Musi on dbać o prawidłowy obieg informacji, co gwarantuje szybkie podejmowanie decyzji przez, powiedzmy przykładowo, Instytut Kryminalistyki czy Biuro Dochodzeniowo-Sledcze, nadzoruje i pomaga dyżurnym WUSW w przypadku poważnych zdarzeń, koordynuje działania, gdy sprawa obejmuje swym zasięgiem kilka województw (działania pościgowo-blokadowe), ponadto sporządza meldunki informacyjne o przestępstwach i wydarzeniach w ciągu doby na terenie całego kraju, a właściwie są to biuletyny wydarzeń oraz załącznik do informacji dziennej, kierowany do Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych, rozbudowany w stosunku do biuletynu o pełne dane statystyczne.

Ostatnio decyzją ministra przydzielono służbie dyżurnych około 1,5 tysiąca nowych etatów, ale i to zdaniem naczelnika Wiczorka nie rozwiązało problemu. Gdy zsumujemy godziny służb w systemie: 9—21 i 24 godziny wolne oraz 21—9 i 48 godzin wolnych, to okaże się, że dyżurny ma czas pracy dłuższy o około 24 dni w roku w stosunku do innych stanowisk. Osobnym zagadnieniem jest egzekwowanie dni wolnych w pozostałych pionach służbowych, na co tak często uskarżają się funkcjonariusze...



W związku ze wspomnianym wzmocnieniem etatowym udało się wreszcie ujednolicić sytuację kadrową w jednostkach, dziś jest w WUSW co najmniej 4 dyżurnych i 4 zastępców, odpowiednio 4 i 4 w RUSW wszystkich kategoriach oraz komisariatach kategorii I. Do niedawna w najmniejszych komisariatach można było spotkać 4, 3, a nawet... żadnego dyżurnego. Praktyka, jak to w życiu bywa, odbiega nieraz od tego modelu, i tak np. dwóch dyżurnych z komendy głównej odchodzi niebawem na emeryturę i od pewnego czasu mogą być w pracy jedynie gośćmi.

Wróćmy tymczasem do por. M. Malczewskiego. Jak dotąd zgłoszeń było niezbyt wiele.

— Listę otworzyła Warszawa — mówi dyżurny. — Przed starą rudą, na ul. ks. Piotra Skargi, znaleziono martwego mężczyznę bez dokumentów, z rozbitą głową, a obok nogę od stołka. Poznań zgłosił potrącenie torowiska przez elektrowóz, więc kolejowy wypadek ze skutkiem śmiertelnym. Dyżurny WSK z Gorzowa Wlkp. poinformował o włamaniu do magazynu z bronią w Technikum Rolniczym w Kamieniu Małym, skradziono kbks i 1500 sztuk amunicji.

Są dwie kategorie zdarzeń, o których musi wiedzieć dyżurny

KG MO. Kategoria I grupuje przypadki najcięższe, takie jak zabójstwa, uprowadzenie osób, rozboje z bronią, rozboje bez broni, ale polegające na wdarciu się do mieszkań upatrzonych osób, włamania do banków, mieszkań partii politycznych, organów administracji państwowej, kościołów, włamania do szaf metalowych niezależnie od obiektu, kradzieże z włamaniem, w wyniku których skradziono broń, materiały wybuchowe, promieniotwórcze lub toksyczne (w ślad za tym ukazuje się z inspiracji dyżurnego stosowny komunikat w środkach masowego przekazu), poważne ekscesy chuligańskie, np. na imprezach sportowych, dezercje z bronią, kłęski żywiołowe, katastrofy, pożary w obiektach przemysłowych, kulturalnych, sakralnych itd.

Wiadomość o zdarzeniu tego kalibru powinna być w ciągu godziny od uzyskania pierwszej informacji przekazana do Warszawy. Następnie należy zgłaszać ewentualne uzupełnienia i przesyłać telefonogram potwierdzający.

Miedzy zdarzeniami najpoważniejszymi a banalnymi kradzieżami kur znajduje się cały wielki „środek” — sprawy kategorii II, o których WUSW musi w ciągu 10 godzin przekazać telefono-

gram, bez konieczności wcześniejszego telefonicznego powiadomienia:

Dyżurny Malczewski nie czeka na sygnały od kolegów, łączy się kolejno z Łodzią, Krakowem, Katowicami, pyta, jak przedstawia się sytuacja w mieście i województwie. Od wszystkich słyszy budującą odpowiedź, że cisza i spokój. Znają się dobrze, choć tak na „niewidzianego”, stale niemal spotykają się na tych samych zmianach, dzięki temu wiadomo kto syntetyczny i konkretny, a kto wręcz przeciwnie.

11.15 Bydgoszcz. W Zakładach Celulozowo-Papierniczych w Świeciu zdarzyła się awaria, woda dostała się do kotła sodowego, co grozi wybuchem. Ludzi ewakuowano, zagrożenie dla środowiska naturalnego nikłe. Na miejscu są jednostki straży pożarnej oraz funkcjonariusze z OPMO.

11.35 Znow Bydgoszcz. W Inowrocławiu dwaj sprawcy przedostali się przez płot okalający i przy ogrodzeniu basenu położyli materiał wybuchowy, który eksplodował, powodując wypadnięcie szyb w całym budynku. Na szczęście rannych nie ma.

Obie te informacje dyżurny natychmiast przekazał telefonicznie do Gabinetu Ministra, zastępcy komendanta głównego, dyrektora Biura Operacyjnego.

O 12.42 przychodzi dobra wiadomość dotycząca Świecia o zażegnaniu niebezpieczeństwa eksplozji kotła oraz o zatrzymaniu 19-letniego Ryszarda H., ucznia LO, autora niebezpiecznego fajerwerku koło szkoły.

12.48 „Płock. Napad na 80-letniego kowala, dwóch sprawców w kominiarkach związało starszego człowieka i zrabowało kasę z pieniędzmi.

Rosnie liczba zdarzeń, przestępstwa coraz bardziej się rozszerzają — mówi por. Malczewski. — Oby tylko nie przybywało nam „Najmroźniejszych”, bo jak do tej pory działania pościgowo-blokadowe nie były zarządzane zbyt często i w przeważającej większości dotyczyły żołnierzy zbiegłych z bronią.

14.31 Piotrków Trybunalski. W pociągu relacji Łódź—Gliwice 25-letni Marian M. tak dotkliwie pobił Jerzego K., że spowodował jego zgon. Sprawcę zatrzymano...

— Na marginesie tego zgłoszenia dodam, że niektórym dyżurnym wydaje się, iż pobicie ze skutkiem śmiertelnym nie mieści się w zestawie kategorii I (tak jak zabójstwo) i ograniczają się do przesłania telefonogramu. A przecież tu również ginie człowiek. Inne błędy? Na przykład niezgłoszenie włamania do szafy metalowej w laboratorium i kradzieży 180 g platyny, informowanie o rozbójcu z 4-dniowym opóźnieniem lub generalnie — zbyt późne zgłaszanie zdarzeń. Jeśli nie ma istotnych powodów, by tak się działo, a koleżeńskie uwa-

gi nie skutkują, muszę sięgać po zeszyt uwag.

Jak zwykle, tak i tegoż 30 listopada 1989 r. nie brakuje telefonów zupełnie innego rodzaju — z pytaniem o adres prokuratury, ze skargą na pracownika z Biura Paszportów, z prośbą o wysłanie natychmiast radiowozu, bo pod 997 nie można się dodzwonić. Ludzie myślą, że skoro komenda główna, to i szczebel wyższy, więc coś się uda uzyskać. Telefonują też samotni, starsi ludzie, chorzy psychicznie, z manią prześladowczą. Mówią łamiącym się głosem, że sąsiad ich podtrzuwa gazem. Dyżurny przekazuje takie przypadki do odpowiedniego DUSW czy komisariatu, co może być więcej...

15.29 — Tarnów. Napad na plebanię w Łapczycach, gosposię w stanie ciężkim zawieziono do szpitala. Sprawę ujawnił ksiądz po powrocie z pogrzebu.

W niedługi czas później, o godzinie 16.00 dołącza por. Zbigniew Borowski, który pozostanie tu aż do godz. 9.00 rano.

Nadal dzwonią telefony.

18.41 Zamość. W miejscowości Zastawa syn zabił ojca. Na razie wiadomo tylko tyle, grupa pracuje na miejscu i nie ma dostępu do telefonu.

18.50 — Gorzów Wlkp. Zatrzymano sprawcę kradzieży kbkks i nabożów, ucznia tego technikum.

19.05 — Kraków. Na trasie E-40, koło Wieliczki, nastąpiło czołowe zderzenie samochodów ciężarowych, jedna osoba zginęła.

20.36 — Tarnów. Uzupełnienie danych do napadu.

Parę minut przed godz. 21.00 zgłasza się kpt. Szczepan Szmít, który zmieni dyżurnego Malczewskiego. Kierowca wchodzi z grubym plikiem telefonogramów, następnie będą spływały do mnie więcej godz. 1.00. W nich — informacje o bójkach i pobiciach, włamaniach do mieszkań i samochodów, o większych i trochę mniejszych zdarzeniach, jakich każde: doby tyle ma miejsce w kraju.

F.p. Szmít zajmie się czytaniem i selekcją materiałów, wyoierze te najważniejsze i, powiedzmy, najciekawsze do umieszczenia w biuletynie, który wszak nie jest z gumy i objętość ma ograniczoną. Por. Borowski pochylił się nad statystyką — ile, czego, gdzie, w ciągu ostatniej doby. O godzinie 2.00 kierowca przywiezie maszynistkę, która zasiądzie do przepisywania dokumentów. Skopiuje je o 5 nad ranem fachowiec od ksero.

Tak dobiegnie końca kolejna pracowita doba.

Poki co, stojąca na pulpicie końcówka komputera spogląda na wszystko obojętnym martwym okiem, czekając beczynnym aż wreszcie przeszkoleni zostaną do jej obsługi dyżurni i włączona do systemu na coś się przyda...

JOLANTA ŚLIFIERZ
zdj. Krzysztof Mokrzyński

GRUNT TO RODZINKA

ciąg dalszy ze s. 11

sie radiowóz. Funkcjonariusze chcieli odwieźć na badanie krwi obydwa zatrzymanych. Oni też dostali swoją porcję obelg, a jednocześnie okazało się, że Jacek M. chwilę wcześniej sam udał się do szpitala, oświadczył, że idzie zrobić obdukcję lekarską, ponieważ został pobity. Z Markiem C. natomiast wsiadli do radiowozu jego bracia. W szpitalu starszy z nich, Jerzy oświadczył, że pozwoli pobrać swemu bratu krew do badań pod warunkiem, że wszyscy milicjanci z komisariatu też poddadzą się takim badaniom.

— To nie mój brat jest pijany, tylko oni — oświadczył, po czym zarządził odwrót całej rodziny do domu.

Tak to członkowie rodu C. nieczym w klasycznym westernie napadli na posterunek, odbili swoich, nawymyślali ludziom szeryfa, wypili się na prawo, po czym spokojnie, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku rodzinnego wrócili do domu...

Prokurator wszczął sprawę o czynną napaść i znieważenie funkcjonariuszy (w sumie przezwinięło się ich pięciu) oraz znieważenie żony Jana Kusia, po czym sporządził akt oskarżenia przeciwko całej siódemce rodu C. z przyległościami. Wszyscy odpowiadają będą z tzw. wolnej stopy, w czym nie ma nic dziwnego poza faktem, że prokuratura nie zatrzymała w areszcie tymczasowym także Jacka M., poszukiwanego wcześniej listem gończym do odbycia kary 1 roku pozbawienia wolności. Podobno, żeby nie zadrżniać sytuacji...

— Z rodziną C. jest tak zawsze — mówi dzielnicowy mł. chor. Edmund Karpeta, który zna ich od lat ośmiu. — Jeśli cokolwiek zagraża jednemu, natychmiast zjawiają się pozostali, gotowi pazurami bronić, bez względu na konsekwencje. Gdy muszę do nich czasem zajść, zaraz zbiega się cała rodzina, krzyczą, straszą mnie, zanim jeszcze dowiedzą się, o co chodzi. Matce robiłem kiedyś sprawę o kradzież kur, ojcu, gdy jeszcze żył, o handel alkoholem. Przyknieśliśmy go wtedy i parę minut później w komisariacie zjawił się cały rodzinny klan. Dyżurn miał również mł. chor. Szlachta, który ma do nich wyjątkowe „szczęście”. Matka wpadła wówczas na dyżurkę i krzycząc „wypuście go łobuzy” podbiegła do kraty aresztu, ucepila się jej i nie chciała puścić. Dyżurny z pomocą innego milicjanta ledwie ją odciągnął. Pozostałych udało się wyprosić dzięki temu, że w komisariacie było akurat więcej funkcjonariuszy niż os-

tatnio. Innym znów razem — wspomina swoje perypetie z rodziną C. dzielnicowy — na najstarszego z braci C. wpłynęła skarga o pobicie dziecka sąsiadów. Nie stawiał się na wezwania, więc posłaliśmy do niego do domu. Ja, kolega i zastępca komendanta, we trzech, bo znając C. wolaliśmy się ubezpieczyć. Ten, gdy nas zobaczył, wskoczył pod pierzynie, a jego żona położyła na niej malenkie, kilkunastomiesięczne dziecko.

— Jak się zbliżyli, to je zwałę na podłogę! — krzyczał do nas uchyłając poscieli. No i co mogliśmy zrobić? Postalismy, postalismy i odstapiliśmy od interwencji... — dzielnicowy opowiadał to wszystko z humorem, ale jednocześnie rozkłada ręce. Rodzinę C. znają w miasteczku nie tylko milicjanci. Metoda „kupka mości panowie” i krzykiem wymusili już niejedno, ostatnio na przykład przedszkole dla dzieci...

Kilka dni po „obdiciu” swoich z komisariatu MO, już po wszczęciu sprawy i przesłuchaniach w prokuraturze, pewnego wieczoru zjawili się w komisariacie podpić Marek C. i Jacek M. od progu wołając, że tu jest zatrzymany ich kolega, więc będą przeszukiwać pomieszczenia. Gdy dyżurny kazął im opuścić jednostkę, zwymyślali go ile wlezie. Używałby sobie może i dłużej, gdyby na dyżurkę nie wszedło dwóch funkcjonariuszy. Widząc, że siły są wyrównane, wycofali się...

— Sprawy o znieważenie moglibyśmy robić rodzinie C. prawie co miesiąc — mówi dzielnicowy — ale wtedy większość czasu spędzilibyśmy w sadzie. Poza tym oni ubliżają nam w cztery oczy, zwykle bez świadków, zwłaszcza postronnych. Ja już ich znam, nie reaguję więc, odczekuję aż się wykrzyczą. Ale boję się, że kiedyś, których z chłopaków nie wytrzyma...

Rozwój sytuacji w G. można więc przewidzieć następująco, członkowie rodu C. pewni swej siły będą chodzić po mieście, jakby nie się nie zmieniło, milicjanci zaś będą starali się ich omijać... Od czasu do czasu któryś z C. wpadnie do komisariatu, naubliża milicjantom według swoich potrzeb i uznania, ci zaś będą usilnie uważać, by nie dać się sprowokować. Jak na Dziękim Zachodzie. Tyle że w westernie w pewnym momencie któryś z ludzi szeryfa nie wytrzymuje i dochodzi do strzelaniny... No, ale my na szczęście żyjemy w Polsce...

ELŻBIETA SITEK



Medycyna zna pojęcie ciąży urojonej, rzadkiego przejawu nerwicy histerycznej, polegającego na subiektywnym przeświadczeniu kobiety o własnej brzemienności. Bohaterka niniejszej opowieści nie doświadczyła wymienionej przypadłości. Nie sobie, lecz mężowi, rodzicom i znajomym zdołała wmówić, iż nosi płód w swym łonie. To kłamstwo przywiodło ją do występku.

We wtorek, 17 października 1989 r., Lucja Cwik-Tomik wybrała się do centrum Zabrze na zakupy. Wzięła ze sobą siedmioletnią Jolę i dwumiesięcznego Tomaszka. Wstępując do apteki postawiła wózek przy schodkach. Gdy kolejka przybliżyła ją ku okienku, wpadła przejechała córka wołając, że braciśzek wypłuli smoczek i płacze.

— Zabaw go, zaraz wyjdzie! — poprosiła matka. W pośpiechu zgarnęła leki do torebki. Na dworze lodowaty skurcz ścisnął jej serce. Wózek z synkiem zniknął. Przerażona matka, ze łzami w oczach miotła się beznadziejnie po chodniku.

Dyżurny MUSW w Zabrzu natychmiast wystąpił w rejon zdarzenia radiowozem i patrol. Pusty wózek odnaleziono na klatce schodowej budynku przy ulicy Wolności. Ręcznie opylono argentyrą, ale śladów nadających się do identyfikacji nie odkryto.

Zjawili się pierwsi świadkowie. Para narzeczonych wychodząca z domu spotkała na schodach nieznajomą w brązowej kurtce. Nachyliła nad wózkiem przewijając niemowlę. Chłopak określił jej wiek na 25–30 lat. Miała nie więcej niż 165 cm wzrostu, lekko otyła sylwetkę i ciemne kręcone włosy sięgające ramion. Jego sympatia zapamiętała spódnicę z marmurkowego dzinsu, kozaczki, ciemną karnację skóry.

Inna lokatorka, spoglądając przez okno zauważyła młodą kobietę wnoszącą oburącz wózek do sieni. Ubrana była w ciemny płaszcz i pobuty na grubych, niemodnych obcasach. Twarz miała bladą.

Mimo odmienności szczegółów dotyczących wyglądu przypuszczalnie porywaczki, sporządzono jej rysopis. Mieszkający w pobliżu jednostki emerytowany ekspert kryminalistyki, mjr rez. Wiesław Tomaszek wykonał portret pamięciowy przestępczyni. Świadczenie orzekł, iż jest nader udany.

— Równocześnie ani na moment nie ustawały zabiegi o odnalezienie dziecka — wspomina naczelnik Wydziału Dochodzeniowego MUSW mjr Stanisław Grabowski. — Radiowoz przemieścił się na rozgłaszając wieść o niecodziennym przypadku. Zawiadomiono prasę, radio i telewizję.

Sprawdzono alibi wszystkich osób realizujących przed południem recepty w aptece przy ulicy Dworcowej. W przychodniach i szpitalach zobowiązano personel do wnikliwego kontrolowania książeczki zdrowia niemowląt. Milicjanci dotarli do instytucji pośredniczących w przysposabianiu dzieci. Dowiedzieli się tylko tyle, że ostatnio żadna młoda kobieta nie wyrażała zamiaru adopcji.

Mijały godziny i doby. Usilne starania milicji, prowadzone przy ogromnym zainteresowaniu opinii publicznej wciąż nie przynosiły rezultatów. Najbliższych chłopczyka podtrzymywała na duchu wiadomość o odnalezieniu w Sopocie 3-miesięcznego Pawła Zielińskiego porwanego tego samego dnia w Szczecinie.

Przełom w śledztwie nastąpił 20 października 1989 r. Do MUSW zadzwonił kierownik taksówki, który słysząc w telewizji milicyjny komunikat przypomniał sobie, iż trzy dni wcześniej stał na ulicy przed urzędem miasta, gdzie żona i syn załatwiali jakieś formalności, gdy raptem do samochodu dopadła zdyszana niewiasta z dzieckiem w ramionach. Prosiła, by podwiózł ją do Mikulczyc. Odmówił. Zaczęła błagać, żeby jednak ustąpił, bo ukradziono jej wózek sprzed sklepu. Z zamsowym daszkiem i wiklinowym koszykiem. Kosztował 150 tysięcy złotych.

— Złotałem się — relacjonował Józef Noga. — Usiadła z tyłu. Dziecko coś mruczało cichutko. Przytuliła je, kołysała. „Na pewno jesteś już głodny” mówiła. Rozmawialiśmy o kradzieży wózka. Używała czystej polszczyzny, bez naleciałości śląskiej gwary. Doskonale знаła drogę, tłumaczyła, jaką trasą najlepiej jechać. Wysiadła na Ligonia, gdzie w pobliżu numerów 22–24. Nie czekając na wydanie reszty wbiegła na podwórze.

Taksówkarz dość dokładnie opisał pasażerkę. Nie wyglądała na więcej niż 25 lat. Miała pociągłą twarz, jasną cerę, fryzurę z grzywką. Odziana była w zapinany na guziki sukienki płaszcz w odcieniu granatu lub ciemnej mrocznej zieleni.

Na ulicy Ligonia zawitali niezwłocznie milicjanci. Okazywali mieszkankom portrety poszukiwanej, określali jej ubiór, pytali o dziecko. Niestety,

POKOCHAŁAM TO DZIECKO OD RAZU

bezowocnie. Ludzie zgodnie przyznawali, iż w okolicy wszyscy znają wszystkich, lecz podobnej kobiety tutaj nie widzieli.

I znów przydały się telewizyjne komunikaty. W poniedziałek, 23 października, do dyżurnego jednostki przysłała Zuzanna Manka. Oświadczyła, że przed tygodniem mijając na ulicy pewną nieznajomą noszącą owiniętego w kocik ośeska. Przeglądała się obcej z ciekawością, bowiem paradowanie z takim brzdącem na ręku nie należy przecież do obrazków zwyczajnych. Zapamiętała jej rysy, ubranie i zachowanie pełne nerwowości. Sporządziła zatem kolejny wizerunek domniemanej sprawczyni porwania. Najbardziej trafny, jak się wkrótce okazało.

Nazajutrz ponad 50 funkcjonariuszy zaopatrzonych w dokładniejsze informacje ponownie wyruszyło do Mikulczyc. Przepytywali aż 828 osób. Równocześnie por. Jan Borys ganił od spotkań do spotkań z dozorcami i administratorami osiedli. Prawie 750 ludzi sprawujących te funkcje otrzymało wskazówki jak rozpoznac kłidnapkę.

Skoncentrowane wysiłki dały wreszcie plon. Lokatorka budynku przy ulicy Ligonia 19 rozpoznała na rysunku Agnieszkę R., swą nową sąsiadkę, która w sierpniu wprowadziła się wraz z mężem do zwolnionego akurat mieszkania.

Agnieszka utrzymywała, iż jest w zaawansowanej ciąży, chociaż brzuch miała dziwnie mały. Odwiedzała ponoć poradnię „K”, kupowała fatalizki dla wyczekiwanej pociechy. W niedzielę, 15 października 1989 r. o świcie zapukała do przyjaciółki, prosząc o pożyczenie szklanki mleka. „Mam syna!” pochwiliła się. Opo wiedziała, jak nocą złapały ją bóle, jak szła samotnie do porodówki nie chcąc sprawić nikomu kłopotu. We wtorek wysiadła z dzieckiem z taksówki. Niemowle wydało się sąsiadce zbyt wielkie jak na noworodka. Wczorazem zaproszona przez koleżankę poszła do niej na kawę. Zauważyła, że mały jest spragniony. „Dlaczego nie dajesz mu pić?” zapytała. „Nie wiedziałam, że trzeba”, padła odpowiedź. „Położna nic mi nie mówiła”. Któregoś dnia Agnieszka wpadła podgrzać mleko na piecu. Nie kryła oburzenia karygodnym uczynkiem porywaczki, o którym huczało w całej dzielnicy. Twierdziła, że ją również odwiedzała milicjanci.

Agnieszka R. nie przebywała w miejscu zamieszkania. Wyjechała do rodziny w Pułtusku. W rejestrach przyjeżdżających z porodowych i klinik ginekologicznych nie znaleziono jej nazwiska.

Teraz zdarzenia nabrały tempa. Niemal jednocześnie z trawieniem na trop przestępczyni w Zabrzu, por.

Jerzy Grzelakowski z RUSW w Pułtusku odebrał telefon. Zastrzegająca anonimowość rozmówczyni powiadała, że niejaka Barbara W. powróciła właśnie ze Śląska z córką i rzekomym wnukiem. Chyba cudem — przekonywała informatorka — Agnieszka, której ślub odbył się za ledwie przed miesiącem, zdążyła powiść tak okazałą latorośl.

Rankiem pod wskazany adres przybyli funkcjonariusze MO z lekarzem. Pediatra obejrzał dziecko i określił jego wiek na ponad dwa miesiące. Badanie „matki” wykazało, że nigdy jeszcze nie rodziła. Chłopczyka umieszczono w szpitalu. Agnieszkę R. zaś zatrzymano do dyspozycji prokuratora.

Wkrótce sanitarka udostępniona przez dyrekcję zabrzańskiego ZOM przyjechała do Pułtuska prawdziwa matka chłopca. Wcześniej szczegółowo opisała każdą fałdkę na jego nóżkach i rączkach. Teraz beznadziejnie wyszukała synka wśród przybranych do okazania niemowląt. „Już na korytarzu — wyznała — popędzał mnie placz Tomaszka. Gdy przytuliłam go do siebie, przestał krzyczeć. Sciskając łapkę mój palec gaworzył bez ustanku, jakby skarżąc się na doznana poniewierkę”. Podróż powrotną obie kobiety odbyły wspólnie. Nie zamieniły ze sobą ani słowa.

Zarzut współuczestnictwa w przestępstwie maż podejrzanego odebrał jak uderzenie obuchem w głowę. We wrześniu zawarł z Agnieszką związek małżeński. Ona była już raz zamężna, ale poprzedni maż wyrzucił ją i maltretował. W maju użył rozwodu. Aby przyspieszyć termin ten ślubu przedstawiła w USC zaświadczenie o zajściu w ciążę.

Piotr R. cieszył się z błogosławionego stanu małżonki. W połowie października kazała mu przywieźć wózek od rodziców. Wróciwszy zastał w domu potomka. Agnieszka powiedziała mu, że gdy schyliła się, by wyprać wykładzinę, odeszły wody płodowe. Pieszko, o własnych siłach dotarła do porodówki. Dziwiło go, że synek jest taki ogromny. „Waży 4 kilo i 15 deka — szczebiotała połowica. Sam lekarz chwycił się za



KOSZTY PRZESTĘPCZOŚCI

Jakie sumy rocznie pochłania we Francji walka z przestępczością? — 52 miliardy franków w 1984 roku, 55 miliardów franków w 1985 r., 58,5 miliarda franków w 1986 r., 63 miliardy franków w 1987 roku. Do takich oszacowań doszli dwóch naukowców francuskiego ministerstwa sprawiedliwości — Thierry Godfroy i Bernard Laffarque w badaniach przeprowadzonych na ten temat. Ich prace objęły okres do 1987 roku, ale uwzględniając średni 5-procentowy roczny wzrost, można przypuszczać, bez większego ryzyka pomyłki, że w 1989 roku wydatki te wyniosłyby około 70 miliardów franków.

Abymy dojeść do tych liczb, obaj naukowcy wzięli pod uwagę wszystkie parametry w rachunku kosztów bezpieczeństwa: wydatki publiczne oraz prywatne na represję i prewencję. Podsumowali więc wydatki na służby policyjne i żandarmerie, biorąc pod uwagę kwoty przeznaczone poszczególnym służbom, zajmującym się

głową: gdzie pani pomieszczyła takiego kłosa? Damy mu na imię Patryk. Szkoda, że nie mam pokarmu w piersiach i muszę karmić butelką".

Zjechali wezwani telegramem teściowie. Matka Agnieszki nie mogła nacieszyć się wnuczkami. "Taki grubutki, taki śliczny. Wykapany ojciec!" — przekonywała zięcia. Przy przewijaniu malucha zastanowił ją brak pepowiny. "Wczoraj odpadła!" — wyjaśniała nie speszona córka. Do kolacji Piotr z teściem opróżnili dwie butelki wódki. Niech się chłopak zdrowo chowa! Nazajutrz po szczybie opijał swe szczęście z kolegami. Z dumną miną spacerował z wózkiem po osiedlu.

— Teść gadał mi — zeznawał — że przed dworcem radiowoz nadawały przez megafony wiadomości o porwaniu jakiegoś niemowlęcia. Nie przyszło mi jednak na myśl, że uprowadzonym może być znajdujący się u nas chłopiec. Żonę uważałem za kobietę uczciwą i prawą. Dbała o dom, pieniądze wydawała oszczędnie.

Agnieszka R. ma 21 lat, za sobą istotne doświadczenia życiowe, ale niewiele zdrowego rozsądku. Martwiła się, że regularnie obciąża z mężem nie zachodzi w ciążę. Przejmując się wyдуманą ułomnością ani nie pofatygowała się po poradę do ginekologa. Wołała uciekać w kłamstwo.

„Odczuwałam silną potrzebę posiadania dziecka — wyjaśniała. — Mąż też oczekiwał syna. Oszukiwałam go, wypinałam brzuch, ubierałam luźne sukienki". „Ale mijające miesiące przybliżały moment ujawnienia prawdy. Wysyłając męża do Pultuska Agnieszka R. chciała zyskać czas na wybrnięcie z zawikłanej sytuacji. Uznała, że najlepszym wybiegiem będzie wersja o poronieniu martwego płodu. Utrzymując iż porwania nie planowała.

W słowach Agnieszki R. tkwi jednak sprzeczność. Jeżeli nie planowała uprowadzenia niemowlęcia, to dlaczego dwa dni wcześniej zanim to uczyniła, powiadomiła sąsiadkę, że urodziła syna? Pozostawmy jednak niuanse docieklivosti sądu.

Ważne, iż po dziesięciu dobach dręczącej niepewności Tomaszek powrócił do rodziców i stęsknionej siostry. Szef MUSW w Zabrze ppk S. Omir Pokrzywnicki twierdzi, że sukces zawiązać należy pomocy społeczeństwa i dziennikarzy współpracujących z milicją. Ogromna życzliwość społeczną towarzyszącą poszukiwaniom chłopczyka podkreśla również szef WUSW w Katowicach gen. bryg. Zdzisław Wewer, adresat listu od państwa Lucji i Henryka Cwików. „Życzymy — piszą — aby ludzie Panu podlegli zawsze z takim zaangażowaniem i tak sprawnie podchodzili do każdej sprawy, z którą się stykacie. I oby tych spraw było jak najmniej".

ADAM K. PODGÓRSKI

Przypadek sprawił, że losy dwojga starszych rolników przecięły się z drogą 17-letniego Andrzeja, ucznia zasadniczej szkoły zawodowej w sąsiedniej miejscowości. Los okazał się na tyle okrutny, że przyszłe ofiary same szukały kontaktu ze swym katem...

Borkowscy mieli 400 bonów PKO i chcieli zamienić je na dolary. Ktoś ze znajomych wspominał, że może to zrobić Andrzej Borkowscy powiedzieli o tym swojemu synowi Henrykowi, który, jak się okazało, znał Andrzeja z widzenia. W niedzielę wraz z ojcem i znajomym pojechali do sąsiedniej miejscowości i ustalili wprawdzie gdzie Andrzej mieszka, ale nie zastali go w domu. Jego rodzicom przekazali prośbę o kontakt i zaraz następnego dnia Andrzej zjawił się u Borkowskich.

— Nie ma sprawy — powiedział usłyszawszy ich prośbę — mogę wam to załatwić. Znam pewną kobietę, która pracuje w pewexie. Zrobił na nich sympatyczne wrażenie, byli taki szczerzy i nie nie chciał za przysługę... Borkowski wyciągnął bonów z kredensu i przeleżając głośno wręczał Andrzejkowi kolejno 3 papiery o nominalach po 100 dolarów i 2 po 50. Andrzej obiecał załatwić sprawę najdalej do końca tygodnia i ośobiście przywieźć dolary. Nie pokazał się jednak, więc Henryk wybrał się do niego.

— W tym tygodniu nie mogłem nic zrobić, bo w „znajomym pewexie" była inwentaryzacja tłumaczył Andrzej. — Nie denerwuj się, w najbliższych dniach wszystko załatwię i przywieżę. Upiął kolejnym tygodniem i zaniepokojeni Borkowscy znowu wysłali syna, by ustalił co i jak. Andrzej kazał mu przyjechać za kilka dni, czyli w piątek. Nie było go jednak w domu ani w piątek, ani w sobotę. Borkowscy zaczęli podejrzewać, że Andrzej kręcił i być może nie odzyskał swoich pieniędzy.

W poniedziałek rano Henryk wsiadał w swojego malucha i jedzie do Andrzeja. Oczywiście nie zastaje go w domu, ale o całej sprawie mówi jego matce. Kobieta jest bardzo zmartwiona, prosi Henryka, by przyszedł za kilka dni, a ona postara się go załatwić. Henryk jedzie jeszcze do szkoły, gdzie według słów matki ma być Andrzej, ale okazuje się, że nie pokazał się na lekcjach od rana. Z tymi niewesołymi wiadomościami wraca więc do swoich rodziców. Przed bramą hamuje gwałtownie mając wrażenie, że pomylił adres. Na podwórzu stoi karetka pogotowia, radiowóz milicyjny i tłum gapiów.

— Co się stało? — krzyczy wysiadając z samochodu.

— Twój rodzice, o Boże, Boże, obydwoje! — histeryzuje sąsiadka. Henryk biegnie przez podwórze. Mija go z wyciem syreny karetka pogotowia.

— Pan jest synem Borkowskich? Proszę z nami — zwraca się do niego milicjant w mundurze.

Jak lunatyk, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co widzi, idzie za funkcjonariuszem.

SYMPATYCZNE WRAŻENIE

W domu wszędzie ślady krwi, najwięcej w korytarzu.

— Co się stało? Co jest z moimi rodzicami? — woła.

— Właśnie pogotowie zabrało ich do szpitala. Matka została kilkakrotnie raniona nożem, ojciec widami. Stan matki jest bardzo ciężki, ojciec nie żyje. To chyba napad na tle rabunkowym, bo w pokoju widać ślady penetracji, pootwierane szafy, szuflady... — Domyśla się pan kto mógł to zrobić? — pyta funkcjonariusz.

— Nie, nie mam pojęcia. Rodzice nie mieli żadnych wrogów, nie byli też aż tak zamożni, żeby organizować na nich napad — Henryk nie może pozbierać myśli.

— Czy posiadają w domu jakąś wartościową biżuterię, złoto, dolary? — pyta dalej funkcjonariusz.

— Dolary... — Henryk nagłe doznaje olśnienia. — Tak — mówi — mieli 400 bonów, które niedawno obiecał im zamienić na dolary pewien znajomy, Andrzej B. z sąsiedniej wsi. Ale zwoził ich już wiele dni i rodzice podejrzewali, że ich oszukał. Dzisiaj poszukiwałem go w domu i w szkole, żeby „przycisnąć" do oddania długu, ale go nie zastałem...

Funkcjonariusze Wydziału Kryminalnego RUSW w Opolu jadą do szkoły, w której uczy się Andrzej. Owszem, jest na zajęciach, chociaż dopiero od piątej lekcji. Właśnie zaczął się język polski. Poproszony z lekcji do gabinetu dyrektorki Andrzej nie ma pojęcia, o co chodzi. Mimo protestów oburzonej dyrektorki szkoły zabrany zostaje do RUSW. Opowiada o tym, że czas przed południem, nim poszedł do szkoły, spędził opalając się nad stawem, w dość odludnym miejscu, gdzie nikt go nie widział. Już po dwu godzinach indagowania Andrzej decyduje się jednak powiedzieć prawdę. Przesłuchanie prowadzi prokurator. Obecna jest również wychowawczyni Andrzejka, która prawie natychmiast po jego zatrzymaniu zjawiła się w RUSW głośno protestując przeciwko zabraniu ze szkoły jej ucznia. Kilka godzin później wyjdzie stąd blada jaka ściana, wielokrotnie powtarzając, że to co usłyszała, nie mieści się jej w głowie...

Kupował w pewexie papierosy, czekolady, wódkę, gumy do żucia. Dla siebie, dla kolegów, dla dziewczyny. Bawił się jak dziecko. Nawet nie w celu szcze-

golnego szpanowania, bo w środowisku, w którym się obracał, każdy ma kogoś za granicą, wielu było osobiste, więc nikomu nie zaimponują dolary czy peweksowskie drobniaki. Sam Andrzej również pochodzi z dobrze sytuowanej rodziny, rodzice mają spore gospodarstwo rolne i także krewnych za granicą. Cudze dolary wydawał zupełnie bez troski, na zasadzie „jakoś to będzie" nie myśląc na razie o konsekwencjach. Później, w czasie przesłuchania, wymieni z grubsza wszystkie zakupy, nie przyna się tylko do najdroższego: stereofonicznej mini-wieży marki Sanyo za 300 dolarów, którą podarował swojej dziewczynie, uczennicy tej samej klasy. Zdziwiony jest fakt, że jej rodzice nie widzieli niczego niestosownego ani dziwnego w tak drogim prezencie ofiarowanym przez uczącego się 17-latka.

Gdy Henryk zaczął nachodzić Andrzeja upominając się o bonów rodziców, ten obiecywał je oddać, ale nie zstawał się, jak to zrobić. Rozwiązanie kłopotliwej sprawy przyszło mu do głowy w poniedziałek rano.

„Dzisiaj rano postanowiłem pojechać do miejsca zamieszkania Borkowskich i ich zabić. Nie miałem opracowanego planu, jak to zrobić. Uzaledniałem to od rozwoju sytuacji na miejscu. Chciałem poznać życie ojca i matkę Henryka, ale jego samego nie. Myślałem, że gdy pozbędę się świadków dania mi tych bonów, to potem Henryk może sobie mówić co chce i nikt mi niczego nie udowodni".

Jak codziennie motorowerem wyjechał z domu do szkoły. Zajeżdżał do siostry, aby zostawić u niej simsona i torbę z książkami. Powiedział, że jedzie z kolegą do Opola, wróci około godz. 12.00 i żeby nikomu o tym nie mówiła. Potem wziął taksówkę i pojechał do Dębska, gdzie mieszkali Borkowscy. Kazał kierowcy czekać na sąsiedniej ulicy, dalej poszedł pieszo. Taksówkarz zezna później, że Andrzej wrócił po około 40 minutach.

„Matka Henryka była na podwórzu. Podszedłem do niej i powiedziałem, że przyniosłem bo-

dokończenie na s. 22

jącym się zapewnieniem bezpieczeństwa.

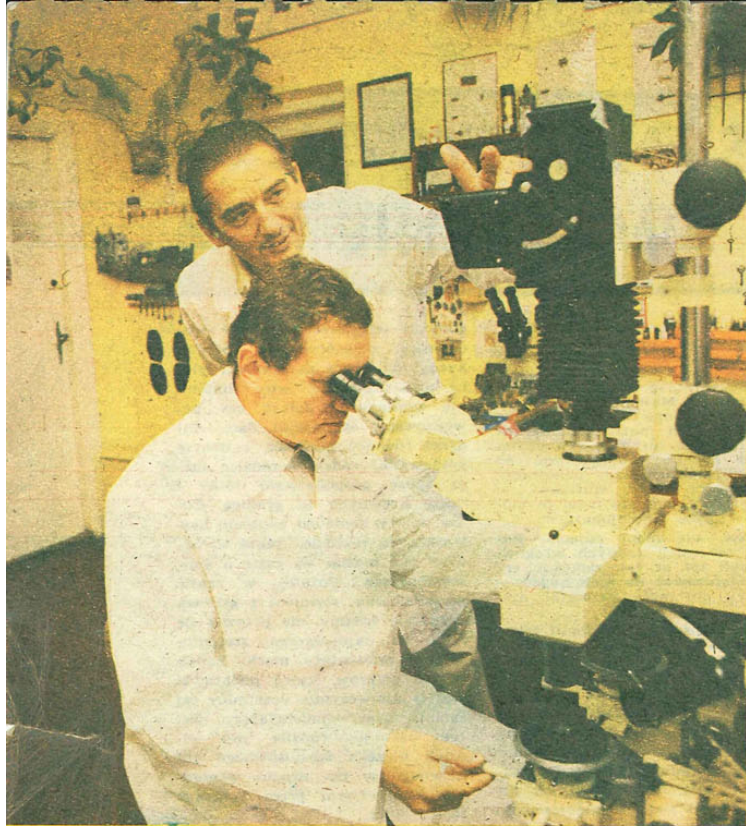
W sumie, wydatki na represję kryminalną kształtowały się w 1987 roku na około 4 mld fr dla policji, 2,5 mld fr dla żandarmerii, 2,6 mld fr dla służb kryminalnych, 3,8 mld fr dla służb penitencjarnych oraz 683 mln fr na edukację pod nadzorem. Jeżeli chodzi o prewencję, cyfry te wyniosły: 7,7 mld fr dla policji, 2,4 mld fr dla żandarmerii, 683 mln

fr na edukację pod nadzorem, 8,6 mln fr tytułem pomocy społecznej dzieciom i młodzieży zagrożonej. I jeśli w tych obliczeniach wydatków autorzy opracowań nie zapomnieli o kosztach związanych z krajowym rejestrem karnym (29 mln franków), pomyśleli także o podsumowaniu wpływów finansowych do Skarbu Państwa: ściągnięte mandaty karne dały 3,2 mld franków w 1987 roku, a wpływy z tytułu pracy więźniów 26,1 mln franków.

W sprawozdaniu z przeprowadzonych badań uwypukla się także nieustanny wzrost kosztów prywatnej ochrony mieszkań, sklepów i zakładów przeciwko kradzieżom i napadom rabunkowym: 34 mld fr w 1987 roku, czyli ponad połowę ogólnych wydatków na zwalczanie przestępczości kryminalnej. Tak więc dochody firm specjalizujących się w wytwa-

rzeniu opancerzonych kas i pojazdów oraz urządzeń alarmowych podwoiły się w latach 1984-1987, form i spółek ochrony oraz transportu pieniędzy zwiększyły się o 25 proc. Natomiast honoraria adwokatów, występujących w sprawach karnych, wzrosły o 50 proc., a dochody firm ubezpieczeniowych w zakresie kradzieży powiększyły się o 25 proc.

na podst. „Le Figaro"
oprac. MARIAN OWCZAREK



final wcale nie jest jeszcze przesądzony. Dzisiejsza liberalizacja prawa bardzo przyszyja przestępcom.

Wystarczy tylko, aby w protokole oględzin znalazła się jakaś luka, zwykły drobiazg, adwokat natychmiast to wykorzysta. Jeśli np. należy nie udokumentuje się, gdzie i kiedy dany ślad znaleziono, zabezpieczono przed zniszczeniem i utrwalono do dalszych badań, nie będzie on miał praktycznie żadnego znaczenia w sądzie, choćby stanowił najbardziej logiczny i niepodważalny dowód przestępstwa.

— Owszem, na folii nr 6 widnieje ślad linii papilarnych mojego klienta — powie w sądzie adwokat — ale gdzie dowód na to, że ślad ten został „zdjęty” na miejscu przestępstwa, gdzie dokładny opis i dokumentacja fotograficzna, gdzie podpis świadka uczestniczącego w oględzinach etc. etc. I jeśli zarzuty te będą zasadne, jeśli opis śladu na „folii nr 6” będzie niekompletny, najewidentniejszy dowód winy przestępcy straci jakąkolwiek wartość.

— Postępująca obecnie liberalizacja prawa — mówi naczelnik Wydziału Kryminalistyki WUSW w Rzeszowie ppłk Jan Zafaremski — spowodowała, że już na początku września ub. r. przekroczyliśmy liczbę oględzin, jaką wydział nasz wykonał w całym 1988 roku. Obecne zapotrzebowanie na

scu przestępstwa, choćby tylko w odniesieniu do badań eliminacyjnych. Teraz jesteśmy zarzucani foliami daktyloskopijnymi i prośbami o ekspertyzę.

Spadło jedynie zapotrzebowanie na ekspertyzę dokumentów. I trudno się dziwić. Anonimów już się nie rozpatruje, a wszelkie pisma, ulotki itp. przestały być nielegalne. No ale struktury wydziałów pozostały te same. W liczbie etatów ten nowy stan rzeczy nie ma odzwierciedlenia. Można by co prawda nieoficjalnie przemieścić ludzi z pracowni do pracowni, ale jak z filologa, który jest ekspertem badań dokumentów, zrobić dobrego daktyloskopa, mechanoskopa czy eksperta wypadków drogowych? A tych specjalistów najbardziej obecnie brakuje.

Żeby w kryminalistyce wykształcić eksperta z uprawnieniami, potrzeba w najlepszym wypadku 5 lat intensywnego szkolenia. Oczywiście zawsze może się okazać, zwłaszcza po 3 pierwszych latach, że dany kandydat się nie nadaje. Wówczas trzeba z innym zaczynać od początku. A kiedy już wykształci się ekspert, kiedy zdobędzie przez kolejne lata najbardziej cenne, jak chyba w każdym zawodzie, doświadczenie, okazuje się, że przepisy etatowe nie są w stanie dać satysfakcji. Choćby był najlepszy swoim fachu i przepracował 30 lat.

NA FOLII NR

6

Jeszcze do niedawna podstawowym zadaniem milicji po zatrzymaniu osoby podejrzanej w miejscu przestępstwa było doprowadzenie do przyznania się jej do winy. Od momentu, kiedy to nastąpiło, sprawę uznawano za zakończoną. Zwłaszcza gdy kilkanaście następnych czekało już w kolejce.

Obecnie przestępcy stosują najczęściej dwa warianty postępowania po zatrzymaniu. Albo zaprzeczają wszystkiemu łącznie z tym, że żyją i oddychają, albo od razu na pierwszym przesłuchaniu przez funkcjonariuszy MO przyznają się do wszystkiego, co im się zarzuca, by po upływie kilku tygodni odwołać swoje wyjaśnienia przed sądem. Wówczas często okazuje się, że mimo całkowitej pewności co do winy podejrzanego, dowodów brak...

pracę inspektora techniki kryminalistycznej w terenie i eksperta w wydziale wzrosło więc prawie dwukrotnie. Kiedyś kontrolami zmuszaliśmy prowadzących postępowania przygotowawcze do wykorzystywania śladów linii papilarnych „zebranych” na miej-

Niedawno w Rzeszowie zatrzymano włamywacza rodem z Gdańska. Znaleziono przy nim przedmioty pochodzące z jednego z włamań. Zatrzymany przyznał się do tego, jak i kilkunastu innych przestępstw. Mimo to prokurator zarządził ekspertyzę mechanoskopijną. Zdawał sobie sprawę z tego, że postawiony w stan oskarżenia młodzieniec w sądzie może stwierdzić, że milicja zmusiła go do przyznania się, a zakwestionowany przy nim łup albo mu podrzucono, albo kupił na bazarze.

Dopiero kiedy w rękach ekspertów z Wydziału Kryminalistyki WUSW w Rzeszowie znalazł się łom należący do podejrzanego i po kilkunastu godzinach żmudnych badań mechanoskopijnych stwierdzono, że ślady po wylamanych zamkach pochodziły ponad wszelką wątpliwość od zakwestionowanego przy podejrzanym narzędzia. Prawa może trafić do sądu, choć jej



poza etat kapitana (w WUSW) się nie przebiega. Toteż aż trzech znakomitych ekspertów odeszło z wydziału. Dostali propozycję wyższych etatów, a tym samym i wyższych zarobków. Jeden z nich jest teraz dyrektorem WUSW, drugi starszym inspektorem wydziału inspekcji, jeszcze inny naczelnikiem innego wydziału. Czy można im się dziwić? Na pewno nie jest w porządku fakt, iż najlepsi fachowcy i specjaliści w danej milicyjnej branży nie mogą liczyć na nic więcej poza życiowością ich przełożonego.

Jeszcze inaczej przedstawia się historia jednego z ekspertów fotografii



barwnej. Zнали i cenili go wszyscy, zresztą nie tylko w Rzeszowie. Po-trafil zrobić zdjęcie na początku og-lędzin i jeszcze przed ich zakońc-zeniem przywieźć na miejsce, by spraw-dzić, czy wszystko jest jak trzeba. No ale te wyjątkowe zdolności młodego eksperta fotografii nie znalazły, bo znaleźć nie mogły, odbicia w pensji czy etacie. No i ów fachowiec prowa-dzi obecnie najlepiej prosperujący w Rzeszowie zakład fotograficzny i mógł-by kupić chyba cały wydział, gdyby ten był na sprzedaż.

Dobrze, że naczelnik ma szczęśliwą rękę do ludzi. Wakatów już nie ma. Wydział odmłodził się znacznie. Po-rucznicy C. Leśniewski, M. Perenc, M. Kożuszek to nowo upieczeni eksperci. Ale co będzie, kiedy ci młodzi ludzie, zdobywający teraz wiedzę i doświad-czenie, za parę lat nauczą się już wszystkiego i będą chcieli awanso-wać?

Poza trudnościami w zatrzymaniu na etatach ekspertów najlepszych fa-chowców w kryminalistyce dochodzą jeszcze inne. Np. co kwartał sporządza się harmonogram zadań. Naczel-

nik wydziału ma zaplanować, gdzie i kiedy włamywacze będą się włamy-wać, mordercy mordować i jak czę-sto, a następnie w związku z tym usta-lić zadania dla poszczególnych pra-cowników. Dokładnie tak samo, jak re-daktor „Wsn”, który w listopadzie ma przewidzieć, co wydarzy się w stycz-niu i o czym będzie wobec tego pisał. Resortowy system biurokratycznej bzdury jest przynajmniej sprawiedli-wy. Dotyka wszystkich jednakowo.

Wracając jeszcze do okresu kształ-cenia eksperta, który to okres trwa minimum 5 lat, jest najeżony liczny-mi egzaminami, obowiązkami, prak-tycznym sprawdzianem umiejętności. Kiedy już przejdzie się przez to wszyst-ko i ma się uprawnienia eksperta, okazuje się, że godzina tej ściśle spec-jalistycznej pracy kosztowała jeszcze do niedawna... 120 zł! W dniu, kiedy piszę te słowa, za tę sumę nie można już kupić ćwiartki chleba. I nawet fikcyjne wydłużanie czasu pracy z 12 na 24 godziny przy wystawianiu ra-chunku, co często się czyni dla pod-reperowania finansów, nie daje. Ekspert zarabia więc dla MSW 2980 zł przez trzy dni pracy (po 8 godzin). Myślę, że fakt ten można pozostawić bez komentarza. Obecnie zawieszono te „rachunki” i zamawiające eksper-ty instytucje nie płacą nic. Może kiedy ukaże się ten artykuł będą już nowe stawki?

W Zakładzie Medycyny Sądowej w Rzeszowie, jak i w innych miastach, zwykła analiza krwi na zawartość al-koholu kosztowała w tym samym cza-sie 2800 zł, nie za godzinę eksperta, tylko kilka minut pracy laboranta. Trudno się teraz dziwić, że wszystkie instytucje pchają się do MO z proś-bami o ekspertyzy, badania itp. Mili-cyjne, stawki urągają wszelkim zdra-woroządkowym rozwiązaniom i ce-nom. O resort spraw wewnętrznych chyba wreszcie ktoś powinien zacząć się upominać. Tylko kto?

Kpt. Adam Surmacz zastępujący naczelnika J. Zafaremskiego, zresztą tylko umownie, bo wydział etatu za-stępcy naczelnika już nie posiada, zajmuje się m.in. sprawami zaopat-żenia i wyposażenia. Z 203 pozycji, w jakie zgodnie z normami ten wydział powinien być wyposażony, brakuje 72. Nie ma pieniędzy na ich za-kup. Ale gdyby tak wydział ten wziął w agencję, gdyby godzina pracy eks-perta nie była mniej warta od ćwiart-ki chleba i gdyby pieniądze z tych nowych, normalnych stawek można było przeznaczyć na wydziałową po-trzeby, kto wie, czy wydział krymi-nalistyki nie byłby samofinansujący się, a eksperci po iluś tam latach za-stoju etatowego przestaliby rozglądać się za lepiej płatną pracą.

A tak liberalizacja prawa postępu-je swoją drogą, a siły i środki w MO swoją. Drogi te coraz bardziej, nie-stety, rozchodzą się. Toteż w sądach adwokaci nawet najgroźniejszych prze-stępców będą mieli coraz większe po-le do popisu, a dowody winy „z folii nr 6” będzie można coraz łatwiej pod-ważyć.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. autor

Kryminalne retro

KANIBAL

Różne są motywy zabójstw. U Karola Denkego z Münsterberga, który pozabiał życia 31 osób, motyw był zawsze ten sam: chęć zdobycia ludzkiego mięsa, które zjadał. Pro-wadził przy tym dokładne notatki dotyczące swych ofiar i ich „poubojowej” wagi. W notatkach tych, pod datą 21 grudnia 1909 r., figurowała niejaka „Emma”. Jak się później okazało, była to robotnica Emma Sander. Za za-bójstwo tej kobiety sąd przysięgłych skazał niewinnie rzeźni-ka Trautmanna na 12 lat więzienia. Po upływie 12 lat Trautmann opuścił mury więzienne, a dwa lata później zo-stał uniewinniony i otrzymał odszkodowanie.

Oto w jaki sposób wykryto zbrodniczy proceder Denkego. W niedzielę, 21 grudnia 1924 r., w posterunku policji w Mün-sterbergu zjawił się 41-letni wędrowny rzemieślnik, murarz z zawodu, niejaki Wincenty Olivier i złożył następujące zeznanie: „W sobotę 20 grudnia przybyłem do Münsterberga i przeocowałem w gospodzie „Ojczyzna”. Następnego dnia, w niedzielę, po godzinie 11.00 wyszedłem z gospody z za-miarem zebrania poza obrębem miasta. Po drodze wstąpi-łem m. in. do domu przy ulicy Stawowej 10, gdzie od-żony jakiegoś nauczyciela otrzymałem 20 fenigów. Przy na-stępnych drzwiach napotkałem Denkego, który zaprosił mnie do siebie zapewniając, że mogę zarobić 20 fenigów, jeśli mu napiszę list. Oczywiście, zgodziłem się. Wszedłszy do jego mieszkania położyłem swój kapelusz na szafce. Denke tymczasem przysunął mi krzesło do stołu, a gdy usiadłem, wręczył mi papier listowy i ołówek. Szukając na stole najodpowiedniejszego miejsca do pisania, zapytałem: „ma bar atrament?” Denke odpowiedział, że ma atrament, ale wołnisty i nie nadający się do pisania. Na dalsze moje pytanie, czy mam napisać nazwę miejscowości i datę, oświad-czył, że to nie jest konieczne. Spytałem go więc: „Co ja właściwie mam napisać?” Podczas tej rozmowy Denke stał cały czas obok mnie, z prawej strony, i dopiero przy ostatnich słowach cofnął się. Zanim zdążyłem napisać „Adolf”, uśmiechnąłem się i odwróciłem. To uratowało mi życie, ponieważ w tym samym momencie Denke uderzył mnie kilofem. Otrzymałem cios w głowę. Przez chwilę byłem nieco oszołomiony, ale nie straciłem przytomności ani siły.

Denke chciał mnie po raz drugi uderzyć, jednakże za-pałem kilof mocno oburacz i próbowałem mu go wyrwać. Długi czas mocowałem się, aż wreszcie nagłym obrotem zmusiłem Denkego do opuszczenia kilofu. W czasie tej szamotaniny z drugiego stołu spadły szklane naczynia, co spowodowało hałas. Miałem już kilof w prawej ręce, ale Denke chwycił mnie za lewe ramię i nie chciał puścić. Wyrwałem mu się jednak, otwarłem drzwi i zacząłem wołać o pomoc. Wkrótce przybyło dwóch synów jednej z mieszka-nek domu, którym powiedziałem, że ten wariat chciał mnie zabić. Obaj mężczyźni, po uwolnieniu mnie od Denkego przyprowadzili zamieszkałego w tym samym domu nauczy-ciela, który wziął kilof ze sobą. Gdy znowu weszliśmy do mieszkania Denkego, ażeby zabrać pozostawiony tam przeze mnie kapelusz, Denke trząsł się cały i grzyział zębami. Twarz miał siną, kąciki jego ust były wykrzywione.”

Zeznanie włóczęgi początkowo przyjęte zostało z niedo-wierzaniem. Denke bowiem podczas swego długotrwałego pobytu w tej miejscowości ani razu nie popadł w konflikt z policją. Cieszył się również dobrą opinią u miejscowej ludności, choć uchodził za człowieka skrytego. Nie składał nikomu wizyt, unikał nawet swych krewnych. W rozmo-wach był bardzo powściągliwy. Najbliżsi sąsiedzi podejrze-wali go jedynie o to, że zjada psy i koty. Potajemnie za-bijanie psów było w Münsterbergu zabronione, ale Denke-go ani razu nie pociągnięto z tego powodu do odpowie-dzialności. Po prostu nikt nie doniósł o tym policji.

Teraz jednak ludziom rozwiązały się języki. Była loka-torka posesji przy ulicy Stawowej 10 już podobno przed kilkunastu laty czuła dobywający się z mieszkania Denkego silny zapach krwi. Inna kobieta miała zauważyć leżący u niego na stole pepek ludzki. Podczas ostatniej zimy dzieci rzekomo znalazły na pokrywie lodowej ogrodowego stawku palec, handlarz kośćmi nie przyjął kiedyś większych kości od Denkego, jako przypuszczalnie ludzkich. Według opowiadań sąsiadów każdego lata z mieszkania Denkego wydobywał się odrażający słodkawy odor. Nocą dochodziły stamtąd odgłosy rąbania i ciecía piła. Mieszkańcy domu przy ul. Stawowej 10 niejednokrotnie widzieli również, jak Denke przynosił do siebie z szopy blaszane naczynie z mię-sem, a czasem wynosił ze swego mieszkania wiele wiader z zakrwawioną wodą, którą wylewał na podwórkę w ten sposób, żeby spłynęła rurami do jego ogroduka.

Denke często też podobno całe noce spędzał poza domem. Wychodząc zabierał ze sobą worek. Nieraz proponował sąsia-dom sprzedaż obuwia i odzieży, palił w ogrodzie różne części odzienia. W gospodzie proponował wędrownym rze-mieślnikom, aby wstąpił do niego, gdyż ma dla nich pracę. Przed kilkunastu laty jednemu z nich próbował za-rzucić z tyłu lancuch na szyję. Rzemieślnik ten powiedział później o tym zdarzeniu mieszkańcowi domu. Miał nawet zamiar donieść o tym policji, ale nie uczynił tego z oba-wy, iż zostanie karany za zebranie. Któregoś dnia, wkrótce po tym zdarzeniu, z mieszkania Denkego wypadł zakrwaw-iony mężczyzna krzycząc, że pojedzie na policję. Ale i on zrezygnował ze złożenia skargi.

Wincenty Olivier skazany został za zebranie na 14 dni aresztu. Zatrzymany do wyjaśnienia sprawy Denke sam so-bie wymierzył sprawiedliwość: powiesił się w celi na swo-jej chustce. (cda)

oprac. J. Bieniek

Kryptonim
"METROPOL"

Sprawa naszego rodzimego Al Capone'a — Zdzisława Najmrodzkiego, a zwłaszcza ostatnia ucieczka z Aresztu Śledczego w Gliwicach, ponowne jego ujęcie przez krakowskich milicjantów, rozpalila wyobraźnię wielu naszych Czytelników rozmiłowanych w opowieściach kryminalnych. Postanowiliśmy zatem przypomnieć historię przestępczej działalności Najmrodzkiego i jego gangu oraz dopisać ciąg dalszy tej niewątpliwie najciekawszej i największej sprawy kryminalnej całego naszego już nie czterdziestolecia, lecz czterdziestopięciolecia.

Oczywiście Nagórski to nikt inny jak właśnie Zdzisław Najmrodzki, ale prawdziwe nazwisko przywrócić mu dopiero w jednym z następnych odcinków.

Takiej sprawy nie zanotowano dotąd w annałach powojennej kryminalistyki ojczystej. Mam tu na myśli jej zasięg, rozmiary, osobowość niektórych sprawców, zwłaszcza szefa całego gangu, oraz niezliczoną ilość ciekawostek dotyczących zdarzeń, rzeczy, zjawisk i osób, o których będzie tu mowa. Z tych już choćby powodów poniższą opowieść można bez wątpienia zaliczyć do kryminałów czterdziestopięciolecia.

Sprawa — jak rzeka. W przeprowadzonym w 1985 r. śledztwie zatrzymani przynajmniej się bez próśb i molestowań m.in. do dwóch włamań do pewexów, 3 włamań do mieszkań oraz tyluż do urzędów gminnych, 26 włamań do domków (czytaj willi) letniskowych, kilkudziesięciu włamań do samochodów, również do kilkudziesięciu przewalank, czyli oszustw, oraz do kradzieży 60 polonezów, 7 fordów i 1 BMW, przy czym kradzieży następnych 9 wozów tymczasem nie udało się udokumentować. Ile naprawdę ukradli polonezów, nie wiadomo, jak nie wiadomo, ile jeszcze kradzionych jeździ i długo będzie po naszych drogach jeździło, być może do końca świata, a przynajmniej dopóki ich rdza na amen nie przeżre. Odzyskano i zabezpieczono mienie wartości 145 milionów złotych polskich, co nie wydaje się sumą zbyt wysoką, jeśli wziąć pod uwagę, iż sami sprawcy przyznali w 1985 r. w śledztwie, że w ciągu dwóch lat zdolali ukraść co najmniej za 300 milio-

Pechowa

nów i to po sżytych, państwowych cenach, a nie żadnych umownych czy z przeproszeniem urzędowych. Ile im z tego zdoła się udowodnić w śledztwie i sądzie, to całkiem jeszcze inna sprawa.

W roku 1982 ginie w stolicy 12 polonezów ukradzionych metodą, o której w następnym odcinku, co jak na metropolię nie jest wcale dużo, ale na utracone milicji wystarczy. Za to w roku 1983 ginie ich już blisko pięć razy tyle. Ginią wyłącznie nowe samochody, zazwyczaj polonezy 2000. Zaczyna też ich ginąć coraz więcej na Ochocie, więc miejscowy Dzielnicowy Urząd Spraw Wewnętrznych w osobie ppor. Bogusława Lachowskiego wszczyna rozpracowanie operacyjne pod kryptonimem „Polonez”, które jednakże po 11 miesiącach zostaje zaniechane z wynikiem negatywnym.

Tak to ppor. Lachowski dostaje po nosie po raz pierwszy, ale nie ostatni w tej sprawie. Ponieważ w początkowej fazie operacji, zanim wesprą go inni, a następnie aż do jej zakończenia uczestniczy właśnie Lachowski, on będzie tu występował jako reprezentant stołecznej milicji oraz również dlatego, że się chyba najbardziej przyczynił do jej skutecznego zakończenia.

Zanim to jednak nastąpi, minął rok 1982, mija 1983, a polonezy jak ginęły, tak giną, mimo wmontowanych przemyślnie autoalarmów. Od lipca wzrasta na Ochocie i w całej stolicy zresztą liczba skradzionych polonezów. W tygodniu ginie przynajmniej jeden, częściej dwa lub trzy. Lachowski robi, co może, robi nawet wiele, ale bez skutku. Więc rwie włosy z głowy. Ze skutkiem. A tu co i raz jakiś ważny dyrektor telefonuje z interwencją, bo mu rąbnęli poloneza, oraz z pytaniem, co robi milicja, aby odzyskać limuzynę. Najbardziej się ponoć piekili pewien dyrektor z Filmu Polskiego. Więc w Stołecznym Urzędzie

Spraw Wewnętrznych sumitują się wyżsi oficerowie, następnie dzwonią do szefa na Ochotę, ten do naczelnika, a naczelnik za to wszystko już odpowiednio ustawia Lachowskiego. Jak w tej wojskowej anegdocie, która za spartolone manewry uczyniła winnym ostatniego w tyralierze z lewej strony szeregowego Marchewkę.

A polonezy giną. Darujmy sobie wszystkie podejmowane w sprawie czynności operacyjne, nie skończylibyśmy bowiem tej opowieści do końca przyszłego roku, najgorsze jest to, iż podejmowane bez rezultatu. Jeśli nie liczyć faktów ustalonych ponad wszelką wątpliwość, a to, że polonezy na zawsze w nocy ze środy na czwartek lub z czwartku na piątek i to wyłącznie nowe. Więc zasadzki, blokady, wzmożone patrole. No i nic, można dostać cholery i piegów.

Żeby było śmieszniej, w nocy z 4 na 5 października 1983 r. tuż przed świętem milicji, giną kolejne trzy polonezy. Żeby było jeszcze zabawniej, jeden z nich, nowiutki, srebrny i służbowy polonez 2000 wiceministra jednego z resortów. Akurat nie naszego. Można powiedzieć, że kielich służbowej goryczy wychylił ppor. Lachowski do dna. Pewnie dlatego nie miał ochoty wypić na Ochocie nawet rocznicowej kawy.

I oto w tym dniu, smutnym dlań jak wdowa po wisielcu, o godz. 14.30 telefonują z Ursusa koledzy funkcjonariusze do Lachowskiego, że minionej nocy podjechały pod jeden z domów przy ulicy Bohaterów Warszawy, na której końcu mieści się akurat komisariat milicji, trzy polonezy, po czym jeden odjechał, a dwa stoją dotychczas, co zauważyła pewna cierpiąca na bezsenność obywatelka. Wprawdzie nie są to polonezy o numerach, które przedwczoją ukradziono, ale kolory się zgadzają, więc na wszelki wypadek...

W piętnaście minut Lachowski z kolegami był już na miej-

W SKIERNIEWICACH U WOJEWODY

Cheć zorganizowania spotkania wyraziło kierownictwo żyrardowskiego oddziału „Solidarności”. Gości przyjął wojewoda skierniewicki Kazimierz Borczyk. Zgodnie z życzeniem inicjatorów, zaprosił on również szefów: Prokuratury Wojewódzkiej (w zastępstwie przybył wiceśledca Marian Grzegorzczak) oraz Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych (uczestniczył zastępca

szefa WUSW ds. SB ppłk Stanisław Janusiewicz).

Zarówno przewodniczący oddziału „Solidarności” w Żyrardowie Grzegorz Popielecki, jak również Jan Zak zasympywalii pozostałych uczestników spotkania informacjami i pytaniami, sugerującymi konieczność zajęcia się przez urząd wojewody, prokuraturę i WUSW różnymi sprawami. Informacje były konkretne, nie które wręcz precyzyjne. A oto one.

W Jeżowie, na skraju miasteczka, pewien rolnik, mający tam swoje grunty, a na kawałku z nich zwierzęta, zrobił zaskakujące odkrycie. Do wykopu po żwirze ktoś wrzucił nocą... pięta kielbasy. Wędlina wyglądała na świeżą, niedawno zrobioną.

Rolnik należący do „Solidarności” nie mógł pojąć, kto w dzisiejszych czasach, charakteryzujących się m.in. niedostatkiem i drożyzną przetworów mięsnych, wyrzuca ok. siedemdziesięciu kilogramów tak poszukiwanych przez ludzi wyrobów. Swoje zdziwienie przekazał, za pośrednictwem innych działaczy społecznych, oddziałowi „Solidarności” w Żyrardowie. Czy zawiadomił o tym posterunek MO? Chyba nie, gdyż uważał, że fakt wyrzucenia przez kogoś kielbasy nie jest przestępstwem.

Ale zastępca szefa WUSW w Skierniewicach miał świeżo w pamięci informację pochodzącą z Rogowa, wsi gminnej sąsiadującej z Jeżowem. W Rogowie doszło do zbiorowego zatrucia mięsem. Zachorowało jedna-

ście czy nawet więcej osób. Wstępnie stwierdzono, że mięso pochodziło z miejscowej masarni. Ppłk Stanisław Janusiewicz poinformował o tym uczestników spotkania u wojewody. Sens tej informacji był dla wszystkich czytelny. Do wyrobu kielbas znalezionej w zwierciwno mogło być zużyte mięso albo nie przebadane przez lekarza weterynarii, albo wręcz padlina. Po zauważeniu skutków swych przedsięwzięcia nieuczciwi masarze, w obawie przed odpowiedzialnością karną, podjęli próbę usunięcia dowodów przestępstwa.

Ppłk S. Janusiewicz i prokurator M. Grzegorzczak zapowiedzieli energiczne zajęcie się tą sprawą.

rocznica

scu, także z jednym z pokrzywdzonych, trenerem dżudo akurata, który już z daleka rozpoznał swój pojazd. Na podstawie powierzchniowych z natury rzeczy oględzin ustalono, że numery silnika i podwozia trenerskiej limuzyny się zgadzają, za to tablice rejestracyjne już nie, kluczyk do drzwi wozu pasuje, a do stacyjki z blokadą nie, znaczy ktoś już tu coś wymienił, a ponadto wyjął zameczek wlewu paliwa. Podobnie w drugim polonezie. Tylko w tym drugim, jak wcześniej zeznał właściciel, nie było akumulatora i koła zapasowego, a teraz są. Znaczący ktoś dołożył, ciekawe bardzo. Na wózki wypadek wylaczają w pierwszym polonezie instalację elektryczną, w drugim wypuszczają powietrze z opon. I zasadzają się na klientów.

Gdzieś tak po półtorej godzinie do jednego z obserwowanych samochodów pewnie podchodzi młody mężczyzna, otwiera, wsiaada. Jeszcze próbuje uciekać drugimi drzwiami, kiedy dopadli poloneza.

W milicyjnym samochodzie, mimo że z kajdankami na rękach, niezwłocznie przystępuje do ubijania interesu.

— Leci słowa, jak pan zaraz o wszystkim zapomni, no? Dobra, dam dwieście patoli.

Lachowski taktownie przemilczał propozycję, choć go, jak sam się przyznał, cholernie w tym momencie zaświerzbiała ręka.

Ż w samochodzie okazuje się, że atrymanym jest Mirosław Kowalski, znany lepiej z półświatka jako „Fagas”, lat 25, poszukiwany listem gończym za kradzieże mieszkaniowe na trzy miliony mniej więcej, oraz konsekwentne nieplacenie alimentów. Skąd na przy sobie dowód rejestracyjny na wspomnianego poloneza oraz kluczyki? Od znanych z widzenia 2 mężczyzn, którzy w barku stołecznego „Metropolu” zaproponowali mu parę

patoli za przyprowadzenie wozu z Ursusa. Po czym nabrali wody w usta.

Tu ciekawostka. Dowód rejestracyjny był jak najbardziej oryginalny, stempel Urzędu Gminnego w Promnej (woj. radomskie) także, a przecież bez wątpliwości fałszywy. Od tego prawdziwego różnił się jedynie tym, że miał prawidłowo wpisane numery silnika i podwozia, gdy tymczasem w dowodzie prawowitego właściciela urzędnik popełnił tzw. czeski błąd, czyli przestawił dwie cyferki.

I oto nagle o godz. 19.30 Kowalski znowu zrobił się rozmowny. Oczywiście nie miał zielonego pojęcia, że polonez był kradziony, ale właśnie przypomniał sobie, że dokładnie za pół godziny będą czekać nań przed „Metropolem” ci dwaj wspomniani mężczyźni, trzeba tylko pojechać i wyjaśnić rzecz całą, bo on za niewinność, przez parszywy zbieg okoliczności nie ma chęci i nie będzie kiblował. I Lachowski dał się na to nabrać. Nie był to jedyny błąd w sztuce, choć spowodowany najlepszymi intencjami, co się zdarza, gdy ktoś nazbyt długo maca na osłep w ciemnościach.

Postawili poloneza przed „Metropolem”, a sami w innym wozie czekają z Kowalskim. Bez skutku. Przez ładnych parę godzin nikt się polonezem ani przez chwilę nie zainteresował, jeśli nie liczyć małego, białego pudelka, który pojazd obsikał. Więc Kowalski gorliwie proponuje, co zostaje zaakceptowane, żeby tych mężczyzn poszukać po śródmiejskich lokalach. Tak wizytują „Metropol”, „Grand” i „Forum”. Bez powodzenia. Wreszcie po trzygodzinnej pielgrzymce „Fagas” powiada, że zna pewną melinę na Brackiej przy Rutkowskiego, gdzie czasem można spotkać, ale tylko jednego z tych mężczyzn. Zaprowadził funkcjonariuszy pod drzwi meliny, zapukał w jakiś taki umówiony sposób i wszedł do środka. Po

10 sekundach Lachowski puknął się w czoło i runął do meliny. Również o te 10 sekund za późno. Tak, to były drzwi prowadzące na przejściową klatkę schodową i tylko wyglądały jak drzwi do mieszkania. Kowalski, stary cinkciarz, wytrawny spec od przewalanek frajerów, podsześcił ich jak pierwszych lepszych nowicjuszy.

Niezwłocznie, jeszcze tego samego wieczora i nocy, przeczesali wszystkie znane meliny z wiadomym, czyli żadnym skutkiem. Byli pod wszystkimi adresami osób zanotowanych w zakwestionowanym Kowalskiemu notisie. Też bez rezultatu. To znaczy owszem. Wpadało się teraz liczyć z tym, że ostrzeżony przez swoich znajomych Kowalski dopiero teraz będzie się strzegł wpadki jak ognia. Na pociechę został funkcjonariuszom notes Kowalskiego, pewność, że jest on pierwszym, znanym z prawdziwego imienia i nazwiska, współsprawcą kradzieży polonezów, rysopis jednego z poszukiwanych mężczyzn, jak się później okazało prawdziwy, bo Kowalski też nie umiał wszystkiego zebrać tak na poczekaniu, oraz wiadomość, że ów poszukiwany porusza się samochodem z pruszkowską rejestracją. Zawsze to już jakiś konkretny ślad, można wreszcie sprawę ruszyć z miejsca, jest bowiem od kogo zacząć. A co się odwlecze...

Łatwo napisać. Gdybym chciał przytoczyć ledwie ćwierć tego, co usłyszał od swoich przełożonych Lachowski, miałbym gotowe dwa kolejne odcinki tej opowieści. Ale po pierwsze, nie wypada zarabiać na zwykłym przepisywaniu, po drugie, dostał już nasz biedny kolega za swoje i nie warto go powtórnie dobijać, bo to naprawdę porządny chłop i dobry oficer, a po trzecie naczelny i tak każeby mi wszystko wykropkować.

I tak oto skończyła się dla ppor. Lachowskiego i kolegów rocznica organów. A następnego dnia rano podjęto w DUSW Ochota nowe rozpracowanie pod kryptonimem „Metropol”.

edn.

Nazwiska sprawców ze zrozumiałych względów zostały zmienione — W.P.

MILICJA MUSI MIEĆ WSPARCIE

Jestem szarym, spokojnym obywatelem, którego nic nie łączy ani z MO, ani z ORMO. Wyróżnia mnie jednak pewna wrażliwość społeczna na to, co dzieje się wokół.

Chętnie bym dołożył milicji i jej agendum za to, co uczyniły złego, ale inni to już za mnie zrobili i chwala im za to. Uważam jednak, że po takim rozliczeniu przyszła już pora, by zauważyć i docenić to, co pracownicy milicji zrobili dobrego dla społeczeństwa. Oczywiście pisząc o tym uważam, że czasy, gdy milicja służyła partii, minęły bezpowrotnie. Mówimy teraz o milicji, czy policji służącej tylko społeczeństwu, i o społeczeństwie możliwie szeroko współpracującym ze stróżami prawa i porządku.

Jako obywatel realnie myślący widzę potrzebę, jak najszybszego zorganizowania nowych formacji wspierających milicję. Organizacja taka powinna zostać powołana na fali nowego nurtu społecznego, wspierającego rząd, a więc także i porządek prawny.

Jestem zdania, że ludzie ci powinni być objęci szczególną ochroną prawną. Inny problem, to czy powinni oni działać społecznie, czy za pieniądze. Wydaje mi się, że możliwość dodatkowego zarabkowania przyciągnęłaby większą liczbę chętnych do takiej współpracy i umożliwiłaby dokładniejszą selekcję oraz rozliczanie z jakości pracy.

Jestem przekonany, że po odpolitycznieniu milicji i przeprowadzeniu niezbędnych reform, znajdzie się jeszcze więcej chętnych do współpracy ze stróżami prawa niż było ich dotychczas w ORMO i że swą działalnością wzmocnią demokratyczny rząd, który musi i powinien egzekwować prawo, by zapewnić bezpieczny byt wszystkim obywatelom.

Krzysztof Godlewski
(Legionowo)

Druga informacja dotyczyła pewnego sekretarza POP. Z upoważnienia kierownictwa przedsiębiorstwa miał on kupić dla zakładu meble, telewizory, rowery i inne przedmioty. Pieniądze rzekomo pobrał, a następnie rozliczył się z nich dokumentami, lecz zakupionych przedmiotów nikt w przedsiębiorstwie nie widział.

— Zajmiemy się tą sprawą — stwierdził zastępca szefa WUSW. — O wynikach naszych ustaleń zostaną poinformowani.

Następnie zainteresowano się dział

alnością niektórych dyrektorów. Chodziło głównie o tych, którzy pragną wykorzystywać dla osobistych korzyści istniejącą koniunkturę. Co robią? Zakładają spółki z symbolicznym kapitałem własnym; w rzeczywistości zaś bogactwa się żerując na własności społecznej. Jako jeden z przykładów podano spółkę powstałą przy zakładach „Stella” w Żyrardowie.

Jednakże spółki — podkreślano — nie wyczerpują problemu paźerności. Nie brak dyrektorów monopolizujących służbowe wyjazdy za granicę.

Są to — twierdzono — de facto opłacane przez zakłady wycieczki, na których się ponadto zarabia. Wyjeżdżać powinni specjaliści, potrafiący zawierać korzystne transakcje.

Były i skargi na niektórych funkcjonariuszy milicji.

— Gdy nasi członkowie i aktywiści zwracają ich uwagę na różne negatywne zjawiska, dość często w odpowiedzi słyszą: „Idźcie do „Solidarności”, niech oni się tym zajmą” — mówili goście wojewody.

— Takie zachowanie jest niedopuszczalne — zapewnił uczestników

spotkania ppłk Stanisław Janusiewicz.

— Dobrze nam się współdziała z kierownictwem RUSW w Żyrardowie, a zwłaszcza z zastępcą szefa ds. SB Bogdanem Wróblem — poinformowali przedstawiciele „Solidarności”. — Na bieżąco omawiamy interesujące nas wspólnie sprawy.

Gdy po kilku godzinach uczestnicy spotkania opuszczali gabinet wojewody Kazimierza Borczyka, nikt nie wychodził z poczuciem straconego czasu.

EDWARD NOWAK



MÓJ PIES



PSY I LUDZIE CZY LUDZIE I PSY?

Jedną z zasad wykorzystania psa tropiącego w służbie głosi, że to nie pies tropi ślady, ale przewodnik przy pomocy psa. Jest w tym dużo racji, ponieważ pies wykonuje tylko pracę węchową, przewodnik natomiast — myślową. Oto przykłady współdziałania przewodnika z psem i braku takiego współdziałania.

Powiadomiono RUSW o włamaniu nocą do pomieszczeń gospodarczych, w zabudowaniach należących do ob. X. Ze skrytki w piecu ukradziono parę tysięcy dolarów USA i kanadyjskich.

Miejsce kradzieży, po jej odkryciu rankiem, zabezpieczył właściciel, a milicję powiadomiła siostra, mieszkająca w sąsiedniej wsi, kiedy została o kradzieży poinformowana.

Mimo czasu, jaki upłynął od dokonania kradzieży (ok. 8 godzin) podjęto próbę użycia psa tropiącego. Przewodnik uważnie obejrzał miejsce zdarzenia, próbując odnaleźć ślady nadające się do wykorzystania przez psa do pracy węchowej. Odnalazł je i pies po nawęszczeniu rozpoczął tropienie. Prowadził przez zaorane pole, potem poboczem drogi, po 2 km dotarł do sąsiedniej wsi. Przed zabudowaniami z ładnie utrzymanym ogródkiem zatrzymał się i zaczął szczeleć. W drzwiach stanęła, osłupiała ze zdumienia... siostra poszkodowanego. Za chwilę, również bez słowa, pokazała skradzione pieniądze.

W grudniowe popołudnie przewodnika wezwano na miejsce zdarzenia. Wyrwany z ciepłego domu, mimo widocznych oznak radości psa z tego spotkania, był niezadowolony.

Czekano już na nich w sklepie „Jubilera”, z którego skradziono sporo wartościowych sreber i biżuterii. Pies ochotczo podjął ślad, ciągnąc na końcu długiej linki swego przewodnika. Zmierzchało. Spał mokry śnieg. Miasto było wyludnione. Ani przewodnik, ani asekurowujący ich funkcjonariusz nie podzielali entuzjizmu psa.

Po około 800 metrach tropienia pies zatrzymał się nad śmierdzącą, miejscową rzeczką. Pobiegał, pobawił się patkami i... „tam stracił ślad, przy fatalnych warunkach atmosferycznych” stwierdził wreszcie ochotczo w sporządzonej notatce służbowej o użyciu psa do tropienia po śladzie.

Kiedy po dwóch miesiącach ujęto sprawców, w czasie przesłuchania okazało się, że tamtego dnia swój łup pospiesznie zapakowali do siatki i tymczasowo wrzucili go do... rzeki, asekurowując nylonową linką przywiązaną do gałęzi.

JAN WALICKI
zdj. K. Mokrzyński



MEDAL DLA ZOSI-SAMOSI

„Pomóż sobie sam!” To hasło, a nie żadne inne, powinno wisieć nad drzwiami urzędów spraw wewnętrznych.

Nie bowiem mylniejszego od przekonania, iż o skuteczności działań milicji decydują umiejętności fachowe oraz postawy polityczne. W dzisiejszych skomplikowanych czasach najważniejszą cechą, zwłaszcza osób plastujących kierownicze stanowiska, powinna być zaradność i zdrowy rozsądek. Na smietnik inne przyimoty. Jeżeli nie posiedli oni arcytrudnej sztuki wiązania końca z końcem, nalewania z próżnego, latania dziur, które latać się nie dają i rozcinania gordyjskich węzłów wkiłanych przez codzienność. Po to, by podwładni mieli czym jeździć, na czym pisać, czym dzwonić i jeszcze, jeżeli się uda, przylapać jakiegoś gagatka.

Pod koniec lata komendant komisarzatu w G. pokazał mi sprawozdanie z realizacji planu finansowego, z którego wynikało, iż dysponuje funduszem „0,00 zł”. Coż, najnudniejsze plany nie przewidziały galopującego tempa inflacji. Nie smierząc państwowym groszem porucznik ów staje nagle przed szansą zdobycia 2 ton koksu dla komisarzatu. Towar deficytowy i okazja może się drugi raz nie powtórzyć. Coż zatem robi, widząc w wyobraźni podwładnych za biurkami w futrzankach, rozgrzewających się tupaniem w podłogi? Zbiera wszystkie swe oszczędności, pożyczka reszta od rodziny i kupuje upragniony opał. Wierzy, że wydatek po korektach budżetu zostanie mu skompensowany. Być może. Tak czy inaczej straci, gdyż kilkadziesiąt tysięcy złotych wypłaconych mu, powiedzmy w grudniu, będzie o wiele mniej warte od kwoty wyłożonej we wrześniu. A przecież mógł wzruszyć ramionami: a cóż mnie to obchodzi!

Szef RUSW w M. staje przed innym problemem. W niedzielę, przy międzynarodowej trasie lądowej w

rowie TIR. Kierowca ranny, ładunek rozbity. O pozostawieniu wszystkiego na pastwę losu nie ma mowy. Podobnie zresztą jak i o wystawieniu posterunku. Najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby odholowanie kołosa w bezpieczne miejsce. Ba, tylko czym to zrobić? Ciągnik, którym spiesz z pomocą sąsiad-rolnik, okazuje się za słaby. W SKR i PKS nie potrafią pomóc, nie mają ludzi. Po godzinach dzwonienia do rozmaitych przedsiębiorstw i instytucji, powoływania się na wyższą konieczność i osobiste znajomości, przybywa dźwig. Ale to nie koniec kłopotów, bo oto pojawia się kwestia, kto zapłaci za usługę? Powinna oczywiście MO. I znów tylko przyjacielskie układy pozwalają uniknąć ogromnego wydatku.

A przecież szef ten mógłby porzucić na stwardzeniu, iż rzecz nie leży w zakresie jego kompetencji ani możliwości i wrociwszy do domu wyciągnąć się na kanapie. Tylko co by się stało, gdyby przewoźnika obrażono z części i wyposażenia?

Irytujemy się nieraz angażowaniem milicji do zadań, które jej nie dotyczą. Zgrzytamy zębami, gdy funkcjonariusze zamiast ganiać złodziei, wydają się na różnych urzędach, byle wydebić jakiś drobniak dla jednostki. Papier, przybory do pisania, możliwość skorzystania z powielacza. Krew nas zalewa, gdy trzeba korzystać z cudzej łaski.

Lecz jak by wyglądało funkcjonowanie jednostek bez takich Zosi-Samosi? Tych uczynnych i zaradnych ludzi, potrafiących sobie poradzić tam, gdzie przepisy wazują im ręce i tam, gdzie ich brak tworzy sytuację bez precedensu. Nie czekają na manę z nieba ani na przyzwolenia przełożonych, nie usprawiedliwiają beczynności obiektywnymi trudnościami. Usiłują własnymi siłami wyjść z beznadziejnego na pozór położenia.

AKP

dokończenie ze s. 17

ny. Złapała mnie za rękę i zaciągnęła do mieszkania. Gdy tylko znaleźliśmy się w korytarzu od razu zaatakowała mnie, wyciągając z kieszeni kurtki scyzoryk, którego ostrze było już otwarte (...) i uderzyła mnie w klatkę piersiową. Ona wybiegła z korytarza na podwórko, ja za nią, złapałem ją i uderzyłem ręką w twarz tak, że upadła na ziemię. Chwyciłem ją za rękę i wciągnąłem do korytarza. Kobieta nie podnosiła się. Zaczęłem ją bić pięściami po głowie. (...) Nożem kuchennym dwa razy uderzyłem ją w plecy, bo jak poszedłem po ten noż, to przekreśliła się z pleców i teraz leżała na brzuchu. (...) Gdy wyciągałem noż z ciała, zobaczyłem, że złamało się ostrze. Wszedłem do pokoju, pochwyciłem szafkę i szafy, ale nie z nich nie wziąłem! Chodziło mi o to, żeby wyglądało to na zabójstwo na tle rabunkowym. Nagle usłyszałem głos mekka tej kobiety: „Co się stało, upadłaś?” Wybiegłem z pokoju i zobaczyłem, że Borkowski stoi nad leżącą w kałuży krwi żoną. Gdy mnie zobaczył, przestraszył się i uciekł na podwórko. Wybiegłem za nim, kopnąłem, a potem uderzyłem go prętem metalowym w głowę. Borkowski upadł. Wciągnąłem go do budynku, tam w słońce zobaczyłem widły. Uderzyłem nim Borkowskiego w szyję. Upadł, zaczął charczeć, wtedy biłem go po głowie aż zrobiło się cicho. Zam-

knąłem drzwi od środka, wyskoczyłem oknem i pobiegłem do taksówki.”

Taksówkarz nie zauważył w wyglądzie ani zachowaniu swojego pasażera nic szczególnego. Zapytał tylko „Wracam?” na co Andrzej odpowiedział „tak” i było to jedyne słowo, jakie wypowiedział przez całą drogę. Gdy dojechali na miejsce, to jest przed dom siostry, Andrzej rzucił mu na przednie siedzenie 5 bonów i zatrzasnął drzwi, ale nim taksówkarz ruszył, otworzył je powrotem zabierając zostawione na tylnym siedzeniu rękawiczki.

Siostrze, przerażonej widokiem krwi na jego ubraniu, powiedział, że miał wypadek jadąc z kolegą na motocyklu. — Nie się takiego nie stało, uderzyliśmy w zbyt gwałtownie hamujący samochód i krew poszła mi z nosa — uspokoił ją, prosząc jednocześnie, aby uprząla mu zabrudzoną kurtkę. A o całym zdarzeniu nie mówiła rodzicom. Umył się, uczesał i poszedł do szkoły. Właśnie zaczynała się lekcja wf. Grali „w nogę” i nawet nieźle mu szło. Następna miała być klasówka z polskiego, ale wcale się tym nie przejmował. Jakoś to będzie — ta dewiza nigdy nie pozwalała mu psuć sobie humoru myśleniem o przyszłości. Chciałby tej za godzinę...

ELŻBIETA SITEK

PS Imiona i nazwiska zostały zmienione.